Łódź
Odgłosy
Nr 7 (1692)
Rok I (XXXIV)
7 lipca 1991 r.
Cena 3000 zł

Najbogatsi łodzianie

„Nie chowałem pieniędzy do kieszeni"

Rozmowa z Ismatem H. Koussanem, właścicielem przedsiębiorstwa „Karimex".

– Libańczyk w łódzkim biznesie? Skąd? Dlaczego?

– Po maturze w Libanie zastanawiałem się, co dalej ze sobą zrobić. Poznałem ludzi z ambasady polskiej, którzy powiedzieli mi o możliwościach studiowania w Polsce. No więc założyłem płaszcz, wziąłem ciepłe rzeczy i – przyjechałem. To było w 1969 roku. Studiowałem medycynę. Po studiach zacząłem już jednak pracować w biznesie.

– Ale dlaczego został pan w Polsce?

– W 1975 roku wybuchła wojna w Libanie. Trudno było tam wrócić. Po prostu bałem się. Nie byłem zaangażowany po żadnej stronie konfliktu libańskiego. Ożeniłem się w 1975 roku z Polką. I zostałem. Łódź jest teraz moim drugim rodzinnym miastem po Bejrucie. Może już nawet pierwszym?

– Bywa pan w Libanie?

– Bardzo rzadko. W zasadzie od przyjazdu do Polski byłem tam tylko trzykrotnie, za każdym razem przez kilka dni.

– Prowadzi Pan z Libanem jakieś interesy?

– Zaczynam powoli, bo do tej pory z powodu wojny nie chciałem tam jeździć.

– Od czego zaczął pan swoje działania w Polsce?

– Na początku byłem przedstawicielem firmy kuwejckiej na polskim rynku. Handlowałem m. in. z różnymi centralami – Tricotem, Textilimpexem, Confeximem, Uniwersalem, Coopeximem i innymi. Po kilku latach zdecydowałem się na otwarcie własnej firmy. Ponieważ wcześniej moja działalność związana była z konfekcją – dlatego otwierając w 1983 roku „Karimex" wybrałem tę branżę. Na początku firma zatrudniała 30 osób. W 1990 roku – już 700.

– Łatwo było ze studenta medycyny zostać właścicielem największego przedsiębiorstwa zagranicznego w Łodzi, a szóstego w Polsce?

Cd. str. 4

FONICA WESZŁA W TRZECI TYDZIEŃ STRAJKU

Nic do stracenia

Gdy w marcu ub.r. po wygranym konkursie **Kazimierz Kaniecki** obejmował stanowiski dyrektora naczelnego ŁZR-Fonica wszyscy w zakładzie wierzyli, że uda mu się go „wydźwignąć i doprowadzić" do sprawności i efektywności działania".

Fonika miała jeszcze wówczas zawarty kontrakt ze Związkiem Radzieckim na 300 tys. sztuk gramofonów. Wprawdzie nie miały być one przyczynkiem do jej rozwoju, ale dawały przynajmniej możliwość przetrwania najtrudniejszego okresu liczącej wtedy 2500 pracowników załodze. Już w maju dyrektor zaproponował jednak pierwsze zwolnienia grupowe. Odeszło 250 osób, bowiem na więcej nie zgodziła się zakładowa „Solidarność". Ponieważ w większości były to osoby, które skorzystały z wcześniejszego przejścia na emeryturę, wszyscy właściwie byli zadowoleni.

Pod koniec roku okazało się, że sąsiedzi chcą nie 300 a 100 tys. sztuk gramofonów. Wobec powyższego dyrekcja postanowiła zmniejszyć stan załogi do 1700 osób.

100 tys. gramofonów miało zapewnić pracę dla wszystkich

więc projekt ten – wprawdzie nie bez walki – ale w końcu z pewnym zrozumieniem załoga przyjęła.

W międzyczasie Polska przeszła na rozliczenia dolarowe z ZSRR, co dla Foniki, podobnie jak dla większości łódzkich zakładów, oznaczało upadek eksportu.

– To była pierwsza z plag, która dopadła Fonikę – mówi dyrektor Kazimierz Kaniecki. *– W ub.r. 40 proc. produkcji szło do Związku Radzieckiego. Od 220 do 300 tys. gramofonów bez obudowy brały zakłady w Nowosybirsku. W mininym roku kupili 251 tys. sztuk. W lutym byłem w Moskwie i podpisałem kon-*

Cd. str. 3

W numerze m.in.:

◆ **Maria, czyli kwadratura seksu – nowa powieść!!!** strona 16

◆ Zabijcie mnie! strona 6

◆ Polacy handlują w Chinach strona 7

◆ Iluzjon Juliana Tuwima strona 8

◆ Podziemie w Sieradzu strona 10

◆ Trudny powrót do Moskwy strona 11

Firma MARWEN
OFERUJE
szeroką gamę
MARMURÓW
polskich i greckich
o pięknej, niespotykanej fakturze:
na ściany ● posadzki ● kominki
● parapety ● elewacje –
z błyskawicznym terminem realizacji – w cenie od 70 000 do 450 000 zł za 1 m²
95-020 Andrespol k.Łodzi
ul. Rokicińska 148 B
tel. Łódź 13-22-79

Pielgrzymka papieża skończyła się rozprawą z handlarzami

Wojna na dole

Ultimatum Ratusza stawiało sprawę jasno: w niedzielę o ósmej wieczorem do akcji wkroczą siły porządkowe. Kupcy z placu Defilad, właściciele składanych „szczęk", blaszanych bud i drewnianych pawilonków handlowych wiedzieli dobrze, że burmistrz Śródmieścia, Jan Rutkiewicz, nie żartuje. Dowiódł tego swoją determinacją przy „wyprowadzaniu" ulicznego handlu z Marszałkowskiej: kto nie podporządkował się jego zarządzeniu, tego z całym majdanem usunięto przemocą sprzed Domów Centrum. Eksmisja odbywała się w nocy, z użyciem ciężkiego sprzętu, przy asyście policji. Ale wtedy można było mówić rzeczywiście o akcji porządkowej: po drugiej stronie Marszałkowskiej, na placu Defilad, czekały wolne miejsca targowe. W samym sercu Warszawy, tuż obok ruchliwych dworców kolejowych, obok najruchliwszego skrzyżowaia metropolii. Teraz właściciele kramów nie mieli dokąd pójść, chyba że na żebry.

W wywiadzie zatytułowanym „Nie popuszczę", udzielonym „Polityce", burmistrz Śródmieścia zapowiedział kolejny krok wojenny, powołując się na wymogi prawa: *„Dopuszczenie do anarchii w centrum miasta nie może się dobrze skończyć. Jeżeli na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Jerozolimskich ustawią się i zechcą handlować następni, to w czym oni będą gorsi od tych z placu. Jeżeli odpuści się w jednym miejscu, powtórzy się w innym".*

To co Jan Rutkiewicz określa jako anarchię, jest w rzeczywistości doskonale zorganizowaną republiką kupiecką. Z tarasu Pałacu Kultury widać jak na dłoni całe miasteczko handlowe: blisko tysiąc obiektów usytuowanych w równych szeregach na betonowym podłożu. Z góry wygląda barwnie, choć te pośpiesznie ustawiane kramy nie mogą imponować swoją architekturą. Są parterowe, jakby dopiero wyszły spod ziemi, jak zresztą cały ten handel, będący świadectwem skrzętnej zapobiegliwości warszawiaków, który stał się solą w oku renomowanych firm oferujących towary we wnętrzach luksusowych, przestronnych i już na wpół europejskich. To właśnie sąsiadujący z nimi bazar, handlarze – jak pisze z pogardą stołeczna prasa używając z upodobaniem języka z epoki bujnego socjalizmu, bo słowo kupiec mogłoby nobilitować parweniuszy – zmusili te wielkie firmy do obniżenia cen i uczynienia ich dostępniej-

Cd. str. 5

POLISA
Towarzystwo Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjne „POLISA"
Oddział w Łodzi, al. Kościuszki 80/82
☎ 36-24-65, 37-65-26
Proponuje konkurencyjne warunki ubezpieczeń krajowych i zagranicznych
Zapraszamy do naszych filii wojewódzkich:
Piotrków Trybunalski
ul. Wojska Polskiego 102 telefon 77-43
Sieradz
ul. Aleja Pokoju 11 telefon 39-86
Skierniewice
ul. Kopernika 3 telefon 42-60
Zatrudnimy na korzystnych warunkach pośredników ubezpieczeniowych z terenu województwa: łódzkiego, sieradzkiego, skierniewickiego i piotrkowskiego.

● Po wiecach, na których ich uczestnicy grzecznie podnosili „rączki do góry" ZJM skomentował:

Przyzwolenia dano znak,
Lecz to prawda dobrze znana,
Że gdy wszyscy krzyczą: – TAK!
Rzecz się robi podejrzana.
A w dodatku moi mili
Już żeśmy to przećwiczyli...

● Podczas spotkania Regionalnego Komitetu Strajkowego i komisji zakładowych NSZZ „Solidarność", które odbyło się w „Elcie", przyjęto wspólne stanowisko wobec polityki rządu. Związkowcy z „Solidarności" domagają się „zwolnienia przedsiębiorstw od dywidendy i wyjaśnienia przez Trybunał Konstytucyjny podstaw prawnych obciążenia zakładów dywidendą".

● Światowa Federacja Związków Zawodowych przesłała list do Prezydenta RP Lecha Wałęsy, w którym wyraża zaniepokojenie na temat pogłosek mówiących o zamiarze rozwiązania OPZZ. Sekretarz tej organizacji Aleksander Zarikow przypomina rodowód polityczny i związkowy prezydenta oraz fakt otrzymania przez niego Nagrody Pokojowej Nobla. Zdaniem władz Światowej Federacji ZZ do czegoś to zobowiązuje.

● Grupa zakładów ubezpieczeniowych: „Westa", „Westa Life", oraz „Polonia" kupiła gazetę centralnej Polski „Wiadomości Dnia". Redaktorem naczelnym została Ewa Kluczkowska.

● Sejmowa Komisja Administracji i Spraw Wewnętrznych oceniła wydatki Kancelarii Prezydenta Rp w pierwszym półroczu. Stwierdzono, że liczba komórek organizacyjnych wzrosła z 18 do 27, czyli o 50 procent.

● W Konstantynowie koło Gąbina w województwie płockim rozpoczęto remont masztu radiowego, z którego nadaje się Program I Polskiego Radia. Program ten przez 3 miesiące będzie nadawany przez Raszyn. Będzie gorszy odbiór.

● W środę (26.06.), przed rozpoczęciem debaty sejmowej nad prezydenckim wetem, Program I TVP zapowiedział nadanie wypowiedzi przedstawicieli różnych klubów poselskich. Programu nie nadano i nie wyjaśniono z jakiego powodu. Podobno prezesowi Marianowi Terleckiemu nie podobała się jedna wypowiedź. Cenzura działa, choć jej nie ma. Telewidzom daremnie oczekującym na emisję programu należało się choć: „Przepraszamy"! A jeszcze nie tak dawno Marek Markiewicz uczył ludzi, co to są dobre obyczaje.

● Od 1 lipca płacimy drożej za program telewizyjny i radiowy: 40 000 zł co dwa miesiące. Program pogarsza się stale i pojawiają się dylematy, co oglądać? Na przykład od poniedziałku codziennie o godzinie 18 nadawany jest serial „Alf", cieszący się dużą popularnością, a w Programie II – Łódzkie Wiadomości Dnia, które obejrzeć trzeba. Co wybrać? Najdziwniejsze w tym jest to, że obaj prezesi wywodzą się z lokalnych ośrodków telewizyjnych, o czym widać już zapomnieli. W Warszawie pamięć staje się krótsza?

● „Gazeta Łódzka" ujawniła, kim jest „ten trzeci" w Łodzi, komu należy się odszkodowanie za niesprawiedliwe skazanie. Plotka głosiła, że jest to Grzegorz Palka. Nieprawda. Tym „trzecim", obok Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego, jest Longin Chlebowski, radny RM w Łodzi, członek Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej i przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarność" w MPK. Longin Chlebowski powiedział „Gazecie Łódzkiej": – *Nie jestem jeszcze do końca zdecydowany. Mam czas do września. W ubiegłym roku we wrześniu zostałem uniewinniony przez sąd i przez rok miałem się zdecydować czy będę występował o odszkodowanie. najprawdopodobniej tak i uczynię to chyba w sierpniu. (...) Nie chcemy pieniędzy od państwa. Niech sąd ściągnie od tych, którzy nas skazywali. Wiem, że prokurator, który mnie sądził, działa w tej chwili w spółce i ma się bardzo dobrze. To ci ludzie powinni zapłacić za naszą krzywdę. Jeśli państwo nie jest w stanie tego wyegzekwować, to samo powinno nam zapłacić".*

● W Łodzi w jednym z garaży pracownicy UOP z Krakowa i Łodzi wykryli wytwórnię amfetaminy – narkotyku. Produktem wyjściowym jest preparat BMK. Technologię wytwarzania amfetaminy opracował jeden z krakowskich chemików. Sprzedał ją łódzkim producentom. Pracownicy UOP znaleźli w garażu – wytwórni tyle BMK, że można byłoby zrobić z tego aż 60 kg narkotyku. Producenci tłumaczyli się, że BMK potrzebne jest im do innych celów. UOP zamierza wystąpić o absolutny zakaz posiadania BMK, amfetaminy, a co za tym idzie i jej produkowania.

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy"
Radaktor naczelny Mirosław Kuliś
Wydawca: „Odgłosy-Press" S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎ 36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Lato bez potwora

Już tylko starsi czytelnicy i dziennikarze pamiętają czasy, w których o tej porze roku, na przełomie czerwca i lipca, rozpoczynał się „sezon ogórkowy". A więc okres, kiedy życie spowolniało swój bieg, głównym tematem rozmów były urlopy i wczasy a politycy (nasi) wyjeżdżali na Krym. Na łamy dzienników powracał potwór z Loch Ness, a naczelni prowadzili długie kolegia wydobywając z reozleniwionych redaktorów pomysły i tematy, które mogłyby podtrzymać słabnące w lecie zainteresowanie gazetami. Teksty miały być przyjemne i lekkostrawne, w sam raz na plażę i pod gruszę.

Dewaluuje się złotówka, inflację przeżywają ideologie, czemu więc miałby być zatem niezmienny rytm rzeczywistości ze swoimi podziałami na okresy wzmożonej dynamiki i urlopowo-letniego oddechu? Musimy więc zapomnieć o sezonach ogórkowych, kanikułach i szkockich wężach z jeziora. Potwory, które codziennie wyłaniają się z dalekopisów i telefaksów straszą skuteczniej niż najbardziej fantastyczne zmyślenia i fabuły.

Ci, którzy przygotowują się do egzaminów z historii, albo już je właśnie zdają na różnych uczelniach i akademiach, otrzymali od współczesności nieoczekiwane a tragiczne lekcje poglądowe. „Kocioł bałkański", od dziesiątków lat pusty termin z podręczników wypełnił się dramatyczną treścią, którą nie do końca wiadomo jak rozumieć i interpretować: zryw to niepodległościowy czy też erupcja nacjonalizmów? Gra ambitynch a pozbawionych wyobraźni polityków czy też walka narodów o swoje prawa, przez lata zagłuszane ideologią sztucznego raju koegzystencji i przyjaźni?

Jakkolwiek wiadomo było o różnych konfliktach narodowościowych w Jugosławii, ostatnie doniesienia mogły zaskakiwać zwłaszcza wobec postępujących procesów integracji Europy, która ma być bez granic, barier, wiz i nacjonalnych demagogii. W jednej części kontynentu znosi się szlabany i posterunki, a w drugiej buduje się je z determinacją nie patrząc na ofiary i skutki. Czy lata pokoju, z trudem organizowanych konferencji likwidujących mury, żelazne kurtyny i militarne sojusze, lata mozolnie przygotowywanych traktatów o przyjaźni i dobrej współpracy miałyby okazać się czasem straconym? Jak długo jeszcze Europa dzielić się będzie na część o demokratycznej prosperity, z coraz rozumniej budowanym ładem i na obszar, gdzie wciąż panują siły mroczne i bezrozumne oraz głuchota na wyzwania stulecia, które nadchodzi?

I u nas, kompetujących o status Paryżan Północy i obywateli Europy, co i raz dochodzi do wydarzeń, które oddalają nas od realizacji marzeń o europejskiej wspólnocie. Przyszli studenci mogą oto uczestniczyć w kolejnej poglądowej lekcji historii. Już żaden z nich na pytanie o pogromie nie powie, że nie zna takiego pojęcia. Polska „mława" znowu dała o sobie znać. Upiór z przeszłości wynurzył się w pełnym świetle i unieważnił wszelkie nagonki na tych, którzy jakoby szkalują nasz naród przestrzegając przed popłuczynami nacjonalistycznych fobii i haseł. Przecież nie chodziło w Mławie o to, że jakiś Cygan potrącił był przechodniów i uciekł z miejsca wypadku. Nikt też nie będzie przekonywał, że pogrom był wybrykiem bandy wyrostków. To co się tam stało, jest skutkiem podksórnej świadomości i przekonań, z których rodzi się widać, że łatwo – nienawiść i chęć zemsty. A także zawiść, że oto tacy Cyganie, „takie brudasy i złodzieje" mieszkają w porządnych willach z kolumienkami i tarasami, że mają kolorowe telewizory i mercedesy, czyli, że są posiadaczami tego, co należy się nam, Polakom i katolikom, reprezentantom narodu, który ma świecić przykładem dla całej Europy, jak należy żyć po chrześcijańsku.

Boję się, że to nasze miejsce w Europie stanie się wkrótce tylko jakąś baśnią, którą Pan Prezydent będzie opowiadał przy okazji życzeń noworocznych, a kandydaci na senatorów i posłów przypomną ją podczas kolejnej kampanii wyborczej. I nie chodzi tu tylko o sferę ekonomii, bo tu jakby wszystko jest jasne: nową gospodarkę trzeba budować od nowa; nagłe cuda są niemożliwe i ewolucja wymaga czasu. Rzecz w tych sferach życia publicznego, w których myślenie po nowemu, czyli zgodnie z wymarzonymi standardami europejskimi, jest możliwe od zaraz.

Specjaliści od odkomuszania kraju, zaciekle goniąc te komunistyczne muchy, w niektórych pomieszczeniach zdają się owych insektów minionego reżymu nie dostrzegać. Oto zamyka się przed dziennikarzami i opinią publiczną proces przeciwko Urbanowi (jeśli się nie przesłyszałem Pan Prezydent pośród wielu negatywnych ocen tygodnika „NIE" i jego redaktora jednak go pochwalił za funkcje higienisty życia publicznego) nawiązując wprost do przeszłych praktyk „komuny". Oto szef Kancelarii Sejmu (!!!) zabrania, pod groźbą rozmaitych restrykcji, kierowniczce Domu Poselskiego upowszechniania książki J. Snopkiewicza i A. Jakubowskiej „Naga telewizja". Oto Jacek Głębski, „tymczasowy kierownik" RUCHU, zaleca w specjalnym piśmie tworzenie przez kioskarzy specjalnych preferencji dla czasopism będących pod politycznymi wpływami Porozumienia Centrum i jego akolitów. Oto TvP po zapowiedziach, ilustrowanych odpowiednimi fragmentami, bez pół słowa objaśnienia, wycofuje z programu audycję, w której wypowiadali się w sprawie ordynacji wyborczej reprezentanci z obozu przeciwnego opcji belwederskiej. A te wiece ze sloganami o „odchwaszczaniu" Senatu i Sejmu, te „głosowania", te zdania o „panach Geremkach i Michnikach"? Komusze czy też europejskie to praktyki?

Można więc iść spokojnie na grzyby, albo cieszyć się truskawką, leżeć na piasku i słuchać „Lata z radiem"?

Grzegorz Gazda

Lech Wałęsa nie uważał, niestety, za potrzebne przyswojenie sobie norm poprawnego języka ogólnopolskiego.

Wydarzenia ostatnich tygodni dowodzą, iż człowiekiem, który wywiera największy wpływ na sytuację w Polsce jest bezapelacyjnie Lech Wałęsa. O teorii, iżby prezydent był zbyt mało samodzielny w swoich poczynaniach i posłusznie wysłuchiwał doradców, mało kto dziś wspomina. Zwyciężyło zapewne przekonanie, które dobitnie wyraził **Jarosław Kurski** w swej książce **„Wódz"**, że mianowicie:

„Lech Wałęsa uprawia politykę sam. I ten, kto twierdzi, że jest on pod wpływem doradców, myli się. Jeśli nawet Wałęsa robi dokładnie to, czego doradcy sobie życzą, to wcale nie znaczy, że nie wie, co robi. W pełni kontroluje swój pozorny stpień zależności. Nie ma sentymentu wobec nikogo. Do nikogo się też nie przyzwyczaja, wszystkich ludzi z politycznej branży traktuje pragmatycznie i beznamiętnie. Nie ma osób, z którymi nie może się rozstać, nie ma sojuszy, których nie może zawiązać lub zerwać. Doradcy spełniają rolę informatorów oraz żywych źródeł wiedzy".

Skoro tak jest, i skoro – chcemy tego czy nie – będzie on wywierać największy wpływ na losy Polaków jeszcze co najmniej przez kilka lat – powinniśmy dowiedzieć się jak najwięcej o naszym prezydencie. Pomaga w tym nieocenione poznańskie **„Wprost"**, zamieszczając w ostatnim (26) numerze aż dwa artykuły na temat Lecha Wałęsy. W pierwszym z nich **Piotr Gajdziński** opisuje codzienny rozkład zajęć w Belwederze:

„Wstaje tak wcześnie, jakby nadal pracował w stoczni tuż po 6.00. Wykonuje kilka porannych ćwiczeń, wbija się w garnitur i schodzi do belwederskiej kaplicy. Po krótkiej, samotnej modlitwie, o 7.30 rozpoczyna się poranna msza, odprawiana przez księdza Franciszka Cybulę, od jedenastu lat osobistego spowiednika Wałęsy i proboszcza sopockiej parafii „Gwiazda Morza" (...). O 8.00 Wałęsa zasiada do śniadania w niewielkim pomieszczeniu w piwnicy budynku. Coraz rzadziej są to posiłki spożywane samotnie; przy prezydenckim stole gości często Jan K. Bielecki, Leszek Balcerowicz, Krzysztof Skubiszewski, Lech Kaczyński. (...) Najbliżsi współpracownicy Wałęsy są zdania, że nie lubi on oficjalnych kontaktów, które szybko go męczą i nudzą. Przy jedzeniu jest bardziej rozluźniony – stąd pomysł śniadań konsumowanych w towarzystwie polityków; pomysł, który podobno podsunął prezydentowi Mieczysław Wachowski, osobisty sekretarz i dyrektor gabinetu. (...)

Polityczny „rozkład jazdy" rozpoczyna się o 9.00, kiedy w Belwederze zjawiają się politycy polscy i zagraniczni, przedstawiciele organizacji zawodowych oraz doradcy. Podczas niektórych spotkań serwowana jest kawa, herbata, woda sodowa oraz ciastka.

O 14.00 prezydent zasiada do obiadu, ochrzczonego w Belwederze mianem „żołnierskiego". Posiłek jest skromny – prezydent zaczął dbać o linię – i krótki. Do ulubionych potraw Wałęsy należą: ryby (smażone, gotowane, w galarecie), flaki, smażona kiełbasa oraz wątróbka. Wszystkie posiłki przygotowywane są w miejscowej kuchni, a sprawdzane – tak dzieje się w przypadku VIP-ów na całym świecie – przez funkcjonariuszy ochrony osobistej.

Po obiedzie prezydent spędza czas w usytuowanym obok gabinetu pokoju wypoczynkowym (o rozmiarach 2,5 na 1,5 metra), ułożony na leżance zapoznaje się z publikacjami prasowymi i depeszami agencyjnymi (...).

Tenis stołowy jest ulubionym sportem Lecha Wałęsy, ale czasem zdradza go dla pływania i wówczas, zamiast do piwnicy Belwederu, jedzie na Wiejską, gdzie zażywa kąpieli w basenie hotelu poselskiego. Najczęściej pływa samotnie, pilnowany przez oficerów Biura Ochrony Rządu. Rzecznik prasowy – z wyraźną dezaprobatą – określa basen jako „zbyt krótki".

Czas relaksu kończy się dla Lecha Wałęsy po „Teleexpresie"; w Belwederze znów zjawiają się zaproszeni goście. Dzień pracy kończy się o 19.00; wówczas budynek opuszczają wszyscy zatrudnieni (...) Sam Wałęsa pozostaje w swoim gabinecie jeszcze przez kilkadziesiąt minut. W tym czasie często dzwoni do dziennikarzy – odczuł to na swojej skórze Stanisław Podemski z „Polityki" oraz Piotr Wierzbicki z „Tygodnika Solidarność". Do codziennego rytuału należą także telefony do Gdańska, do rodziny. Szczególnie od czasu, gdy Danuta Wałęsowa wróciła na Wybrzeże, aby ukrócić nieco ekscesy swoich pociech."

Po tej porcji codziennych szczegółów z życia prezydenta, tygodnik **„Wprost"** serwuje drugie „belwederskie" danie, ale dopiero na 52 stronie numeru – artykuł **Bogdana Walczaka,** poznańskiego językoznawcy, o języku, jakim posługuje się Najwyższa Osoba w państwie:

„Wyśmiać język Lecha Wałęsy byłoby rzeczą łatwą i pewnie efektowną, sprawa jest jednak zbyt poważna, by ją potraktować w kategoriach humorystyczno-satyrycznych.

Lech Wałęsa pochodzi z Mazowsza, z Płockiego. Urodził się w rodzinie chłopskiej, jest więc rzeczą normalną, że z domu wyniósł polszczyznę w jej gwarowej odmianie mazowieckiej. Nie odebrał gruntowniejszego wykształcenia, które by go wdrożyło do posługiwania się poprawną polszczyzną kulturalną, w toku zaś pracy zawodowej i działalności publicznej nie uważał, niestety, za potrzebne przyswojenie sobie norm poprawnego języka ogólnopolskiego. Zwracam na to uwagę, gdyż opanowanie polszczyzny kulturalnej poprzez udział w życiu publicznym, choć bynajmniej niełatwe, jest jednak możliwe. Znakomitym przykładem zasadności tego sądu jest inny przywódca robotniczy – Zbigniew Bujak, legenda „Solidarności" z okresu stanu wojennego. Bujak, pochodzący z wielodzietnej rodziny z podwarszawskiej prowincji, miał start życiowy z pewnością nie łatniejszy od Wałęsy, a jednak – co było widoczne już w latach 1980-81, w całej rozciągłości widoczne jest dzisiaj – mówi polszczyzną kulturalną nie tylko poprawnie, ale wręcz znakomicie: swobodnie, nieschematycznie, ze swadą i polotem, wyciskając na każdej wypowiedzi wyraźne piętno swej osobowości.

Tymczasem u Lecha Wałęsy mazowieckie cechy gwarowe są widoczne nawet dla mało w tej dziedzinie spostrzegawczego obserwatora. Najczęstsze z tych cech to: **li** *z twardym* **l**, *jak* **ly** *(polityczny, solidarny itp.), pomieszanie grup* **ke** *i* **kie, ge** *i* **gie** *(w gwarach mazowieckich grup tych się nie rozróżnia, lecz wymawia jednakowo – albo twardo, np.* **kedy, cuker, ręke, noge, Polske** *itp, albo miękko, np.* **kiedy, cukier, rękie, nogie, Polskie** *itp.) oraz wymowa końcówek* **-mi, -ami, -imi, -ywi**, *z twardym* **m**, *a więc jak* **-my, -amy, - imy, -imyi (rękamy, nogamy** *itp.). Oczywiście cechy te występują w wypowiedziach Wałęsy w różnym nasileniu. (...).*

(...) Wałęsa mówi również **musimy siem zmobilizować, musimy budować demokracjem** *itp., a więc każde końcowe* **ę** *wymawia (choć oczywiście nie zawsze) jak* **-em**. *Wymowa taka, raczej rzadka, nie ma wyraźnie określonego podłoża gwarowego. Jest to wymowa ludzi, którzy w sytuacjach oficjalnych starają się mówić „lepiej" niż na co dzień, i – całkiem niesłusznie – uważają wymowę typu* **widze te książke** *(z utratą nosowości końcowego ę) za niepoprawną, usiłują i w tej pozycji wymówić czystą nosówkę – co nieraz prowadzi właśnie do wymowy – em (widzem tem książkem). (...)"*

Autor kończy swój artykuł następująco:

„Byłoby dobrze, gdyby wszyscy użytkownicy polszczyzny jasno sobie uświadomili, że Wałęsa (ze względu na niezaprzeczalne zasługi oraz zalety umysłu i charakteru) został prezydentem mimo pewnych braków, a nie dzięki nim. Innymi słowy: bierzmy (kto chce i uważa to za pożądane) przykład z Wałęsy jako człowieka i polityka, ale na miłość boską, nie naśladujmy jego polszczyzny ani tym bardziej jego stosunku do polszczyzny. A tym wszystkim, którym kultura języka polskiego w jej wymiarze społecznym leży głęboko na sercu, pozostaje żywić nadzieję, że doczekają czasów, kiedy w Polsce, jak w każdym normalnym demokratycznym państwie, umiejętność poprawnego i sprawnego mówienia stanie się warunkiem bez którego trudno będzie marzyć o karierze politycznej".

Wszelki komentarz w tym „Przeglądzie Prasy" byłby zbyteczny.

AG.

Fonika weszła w trzeci tydzień strajku. Nastroje robotników radykalizują się. W dwunastym dniu protestu cała załoga opowiedziała się za jego kontynuowaniem. 8 osób wyraziło gotowość podjęcia strajku głodowego.

Nie mają nic do stracenia

Cd. ze str. 1

trakt na eksport 100 tys. gramofonów, opiewający na kwotę 3 mln dolarów. W marcu mieliśmy wysłać 20 tys. gramofonów. Wyprodukowaliśmy je, ale partner radziecki nie otworzył akredytywy. Awansem wysłaliśmy 5,4 tys. gramofonów na własne ryzyko. Do tej pory nie otrzymaliśmy za nie pieniędzy. Konsekwencje są takie, że zapasy wyrobów gotowych, które wyceniamy na 20 mld złotych zalegają już nie tylko magazyny, ale także korytarze wydziałów montażowych.

Drugą „plagą", która spadła na Fonikę była zerowa niemal produkcja dla wojska, której udział w sprzedaży zwykle wynosił 10 proc. Trzecią – bariera popytu na rynku wewnętrznym (w styczniu sprzedali za 13 mld złotych, w maju 2,5 mld).

Dyrektor Kazimierz Kaniecki żartuje, że teraz należałoby zabrać wszystkie koniaki z jakimi do Foniki przyjeżdżali odbiorcy, zwrócić je ofiarodawcom i prosić ich o ratunek. Przypowieść o koniakach to zresztą jedyny żart na jaki zdobywa się w czasie rozmowy. W sytuacji, gdy strajk trwa już trzeci tydzień, nikomu nie jest już do śmiechu.

Nie siedzieli bezczynnie

W ciągu roku Fonika wykonała wiele manewrów adaptacyjnych, produkując mnóstwo rzeczy często z elektroniką nie mających nic wspólnego. Oprawki do szminek, deskorolki, maselniczki, niektórzy pracownicy wymieniają z zażenowaniem. Nastawili się jednak na wytwarzanie jakichkolwiek urządzeń, które choć w części pokryłyby spadek produkcji gramofonów. Uruchomili produkcję anten tv (pokojowych i campingowych), wzmacniaczy do anten tv, elektrozaworów do kuchenek gazowych. We współpracy ze szwajcarską firmą „Diamond" zaczęli robić przyłącznice światłowodowe. Przygotowali się także do wytwarzania podzespołów do nowego samochodu bielskiej FSM.

Polityka rządu spowodowała jednak,że żadna z podjętych przez nich inicjatyw nie wyszła.

Holenderski biznesmen zainteresowany uruchomieniem w Fonice produkcji gazomierzy zorientowawszy się w polskich przepisach szybko zrezygnował z wchodzenia w joint venture i postanowił sprowadzać do Polski gotowe wyroby. Na biurku dyrektora Kazimierza Kanieckiego pozostał po niedoszłej transakcji gazomierz jako przykład nieudolnego działania. Nie wiadomo tylko kogo – dyrekcji Foniki czy rządu?

Inaczej widać z Warszawy

W stolicy twierdzą, że Fonika strajkuje, ponieważ nie chce się prywatyzować. Prawda jest taka, że wszelkie potrzebne dokumenty ŁZR złożyły w Warszawie 5 miesięcy temu.

Prawda jest również taka, że w czasie rozmów, które odbyły się 20 czerwca w Warszawie między przedstawicielami ministerstw: Przemysłu, Przekształceń Własnościowych oraz Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych a grupą członków Regionalnego Komitetu Strajkowego Łódź wydzieloną do rozpatrzenia sytuacji w Fonice (z udziałem przewodniczącego NSZZ „Solidarność" przy ŁZR – **Leszka Sińskiego**) ministrowie z Warszawy sprawiali wrażenie nie przygotowanych. Nie znali ani sytuacji Foniki, ani sektora przemysłu państwowego. Zaskoczeniem dla Sekretarza Stanu w Ministerstwie Przemysłu **Zdzisława Miedziarka** była sytuacja ekonomiczno-finansowa Foniki. Mimo że to właśnie na jego ręce wysyłano z zakładu alarmujące informacje.

W trakcie rozmów okazało się także, że minister przemysłu nie uważa się za właściciela przedsiębiorstw państwowych, pomimo pobierania dywidendy.

O tę dywidendę Warszawa miała zresztą do Foniki pretensje. Gdyby jej nie zapłacili, można byłoby ogłosić upadłość zakładu, a tak nie bardzo wiadomo co z nimi począć.

Najbardziej jaskrawym przykładem ignorancji ministrialnych urzędników był fakt nieznajomości przyczyn zablokowania przez bank kredytowania inwestycji centralnej realizowanej w ŁZR, gwarantowanej przez Ministerstwo Finansów.

Nie chcą strajkować, chcą pracować.

Rozpoczęcie strajku było odpowiedzią na propozycję kolejnych zwolnień grupowych, a także na politykę rządu wobec Foniki.

Po telewizyjnych „Interpelacjach" z przewodniczącym Regionu Mazowsze, w czasie których przedstawiciele Foniki zarzucali ministerstwom: Przemysłu, Finansów i Przekształceń Własnościowych prowadzenie błędnej polityki gospodarczej – odłączono im w zakładzie energię i zablokowano wszystkie konta bankowe. Na ile był to zbieg okoliczności, a na ile świadome działanie – nie wiadomo. Faktem jest natomiast, że odłączenie energii nastąpiło z polecenia ministra finansów.

Na trzynaście postulatów strajkujących robotników Foniki aż siedem ma charakter polityczny.

Domagają się przerzucenia kosztów reformy na sfery bogatsze. Atakują prywatyzację zarzucając jej obecnym zasadom, iż nie zabezpieczają interesów pracowniczych. Żądają śledztwa i ukarania najnowszej kategorii przestępców gospodarczych,którzy w procesach przekształceniowych rozkradają mienie państwowe. Domagają się także „unormowania wymiany gospodarczej z ZSRR na ogólnych zasadach europejskich bez mieszania polityki do gospodarki".

Wśród postulatów żaden nie mówi o podwyżkach płacy. Pomimo marnych pensji w Fonice nikt tego nie żąda. Ostatnio otrzymali „wyrównanie", lecz nie wpłynęło to na ich postawę.

Żądają pracy.

Czy bezrobociem wejdziemy do Europy? – pytają strajkujący i dodają – *nie mamy już nic do stracenia. Będziemy strajkować dopóki wszystkie postulaty nie zostaną spełnione.*

* * *

Na spotkaniu we Wrocławiu (26 czerwca) Krajowe Porozumienie Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność" poparło załogę strakującej Foniki i zobowiązało Komisję Krajową do wysłania grupy negocjacyjnej. Dotychczas bowiem nikt z „krajówki" nie był u strajkujących w Łodzi.

Wizytę w ŁZR zapowiedział przewodniczący „Solidarności" Marian Krzaklewski.

Czy przyjedzie do Foniki prezydent Lech Wałęsa? Chyba nie uważa strajku tych „co produkują patefony, czy jak to się nazywa", za rzecz godną uwagi. Przynajmniej tak to zabrzmiało w telewizji.

Beata Kostrzewska

UWAGI SCEPTYKA

Złota Rybko proszę cię...

Niedawno miałem okazję rozmawiać ze znajomym, będącym od kilku lat na emeryturze, który skarżąc się, że już ponad 10 lat bezskutecznie oczekuje na założenie telefonu, argumentował, iż całe życie uczciwie pracował i telefon mu się należy. Obaj dyskretnie omijaliśmy kwestię, czy starszego pana będzie stać na założenie telefonu a potem opłacanie abonamentu, który znów podrożał. Inna rozmowa, z młodym małżeństwem z dzieckiem, dotyczy oczekiwania na własne mieszkanie, jak się wydaje warunek niezbędny do udanego życia rodzinnego, ale szanse na spełnienie tego warunku mają znikome. Wiedzą o przetargu, na jakim można sobie kupić mieszkanie – cena wywoławcza 3 miliony za metr kw. i trzeba licytować może do 3,5 miliona albo i więcej. Mówią, że nie stać ich na takie szaleństwo, a przecież mają prawo do godnego życia, którego elementem jest własny kąt.

W gazetach czytam o rosnących rzeszach bezrobotnych, którzy zapewne uważają, że praca im się należy, o zdesperowanych, strajkujących załogach różnych przedsiębiorstw, które nie otrzymują wynagrodzenia, albo otrzymują je na raty i uważają, że za pracę, albo przynajmniej gotowość do pracy, powinni otrzymywać ekwiwalent pieniężny pozwalający na zaspokojenie elementarnych potrzeb życiowych.

Jednocześnie uczniowie jednej z zasadniczych szkół zawodowych w Łodzi swoje życiowe marzenia formułują w następujący sposób: *„Chcę żyć lepiej niż rodzice i pragnę, aby moje dzieci miały lepsze dzieciństwo i byt niż ja", „chcę jak najwięcej zarabiać, za wszelką cenę, chcę żyć w luksusie i przepychu", „chcę mieć własne mieszkanie, oczywiście dobry samochód, dobrą pracę"*. Pewnie oni także sądzę, że życie przed nimi i że to wszystko im się od życia należy, tego oczekują, do tego gotowi są dążyć.

Dawno, dawno temu ludzie, którym marzenia i aspiracje się nie spełniały, wymyślili bajkę o biednym, nieszczęśliwym Kopciuszku.

Jego życiowe nieszczęście, a także dobroć, uroda i inne piękne przymioty zostały nagrodzone książęcym mariażem. Jaka będzie współczesna, polska bajka o Kopciuszku, a może lepiej o Złotej Rybce? Mój znajomy emeryt, jeśli dopisze mu szczęście i złowi Złotą Rybkę w naszych zatrutych rzekach, być może poprosi o założenie telefonu, pieniądze na jego opłacenie i jeszcze raz o pieniądze, aby dotrwać do przyjścia listonosza z emeryturą.

Małżeństwo, o którym wspomniałem, poprosi o mieszkanie, a potem o pieniądze na meble i pieniądze na czynsz i opłatę światła, gazu i innych świadczeń. A młodzi ludzie z zasadniczej szkoły zawodowej, którzy niebawem zasilą szeregi bezrobotnych, poproszą o pracę, czy może o luksusowy samochód?

Na naszych oczach niektórzy złośliwcy mówią, że na nasze własne życzenie kruszy się jeden z pięknych mitów nowożytnych – utopia o równości ludzi i sprawiedliwości. Wiadomo, że nie wszyscy będą mieli luksusowe samochody, pracę, mieszkania i zarobki, na jakie w swym mniemaniu zasługują. Wiadomo, że niebawem dokona się drastyczne rozwarstwienie społeczeństwa (już się ono dokonuje), na którego przeciwstawnych biegunach będzie bogactwo i nędza. Silni i bezwzględni będą przesuwać się w górę, a słabsi i mniej zaradni w dół wieloszczeblowej drabiny społecznej. Opisał to już Honoriusz Balzac w XIX wieku i wiele wskazuje na to, że jego powieści mogą nabrać zaskakującej aktualności w Polsce przełomu XX i XXI wieku.

Nie bronię uproszczonego egalitaryzmu, ani tym bardziej tezy o równych żołądkach, ale z niepokojem i smutkiem obserwuję upadek złudzenia, które towarzyszyło mi w moim dorosłym życiu. Złudzenia, w które uwierzyły miliony, że każdy jest kowalem swego losu, że można mierzyć siły na zamiary, że człowiekowi wiele rzeczy się należy. Tymczasem coraz wyraźniej widać, że tak naprawdę to nic się nikomu nie należy, a życiowe marzenia i aspiracje trzeba przede wszystkim przymierzać do zawartości portfela, zaś ta zawartość wcale nie musi być udziałem każdej biednej osóbki wybierającej pod piecem z piasku ziarnka maku. Wręcz przeciwnie – dobrze i coraz lepiej mają się złe i brzydkie siostry Kopciuszka.

Komu będzie z tym ciężko, to tak jak przed laty również i dziś znajdą się fachowcy, którzy przekonają, że dopiero po śmierci uzyska się satysfakcjonującą nagrodę za niesatysfakcjonujące życie doczesne. Tu na ziemi trzeba się pogodzić z tym co jest, bo taka jest wola Opatrzności. Wprawdzie podobno bogaci mają mieć trudności tak jak wielbłąd z przechodzeniem przez ucho igielne, ale kto by się przejmował starymi przypowieściami. Dziś jest pogoda dla bogatych, a być słabym i ubogim to po prostu wielki wstyd.

Gdyby tak się szczęśliwie zdarzyło, że ja spotkałbym Złotą Rybkę to poprosiłbym ją: nie odbieraj złudzeń mnie i ludziom, wśród których żyję, bo z przekonaniem, że będę miał co mi się należy, łatwiej zaczynać kolejny nowy dzień. Nie odbieraj złudzeń emerytom, że doczekają się telefonów, bezdomnym rodzinom, że będą mieć mieszkania i wszystkim Polakom, że niebawem będą sytym, bogatym społeczeństwem, w którym „prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość". I jeszcze na koniec: Złota Rybko, proszę cię, wyjaśnij mi, co to znaczy sprawiedliwość?

Niestety, ludziom, którzy nie wierzą w bajki, zarówno te o Kopciuszku, Złotych Rybkach i cudownej lampie Alladyna, jak i w te nowe, które opowiadają jedna przez drugą różne dobre wróżki w garniturach, pokazujące się choćby w okienku telewizora, żyje się ciężej ze świadomością prawdziwego sensu życia. Dlatego, Drogi Czytelniku, jeżeli chcesz uciec od niedobrego dziś i dręczącej niepewności jutra, zaufaj bajkom. Zawsze będziesz mógł liczyć, że wygrasz w bingo, zarobisz na akcjach albo przynajmniej spotkasz Złotą Rybkę i powiesz jej – proszę cię..., a ona spełni co najmniej trzy Twoje życzenia.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Kazimierz Kolinka

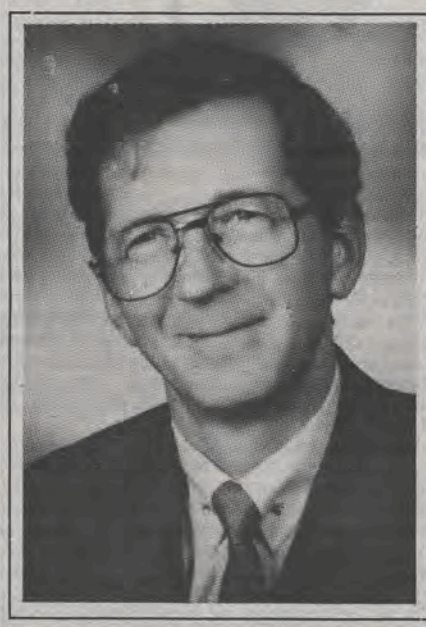

Urodził się w pociągu zdążającym na wschodnie rubieże Rzeczypospolitej. Ale kresy zajęli właśnie bolszewicy, sojusznicy Hitlera i transport kolejarskich rodzin skierowano z powrotem na zachód.

Wychowywała go macocha. Ojciec chciał mieć dużo dzieci, ale jako nastawniczy PKP zarabiał niewiele. Kazimierz Kolinka jako trzynastoletni chłopak poszedł więc do szkoły górniczej w Siemianowicach Śląskich. Cztery lata później zaczął wydobywać węgiel w szybie nr 1. Spadający kęs uszkodził mu rękę, której przez dwanaście godzin nie udawało się uwolnić spod zwału. Ale ręki nie stracił.

Po powrocie do Łodzi zaczął pracować jako konduktor. Na trasie Łowicz-Głowno, w wagonie oświetlanym gazem, stanął w obronie dziewczyny, którą gwałcili młodzi chłopi-robotnicy. Napastnicy wyrzucili go z pędzącego pociągu. Po kuracji zaczął pracować w świetlicy na stacji Łódź-Chojny, zapisał się do amatorskiego kółka teatralnego na Dworcu Fabrycznym, zaocznie skończył liceum ogólnokształcące i zaczął studiować ekonomię. Po dwóch latach filię uczelni rozwiązano. Był już żonaty, miał dziecko, trzeba było rozejrzeć się za lepiej płatną robotą. Dostał posadę laboranta w „Anilanie", wytrzymał tam półtora roku. Potem załapał się na asystenta w wydziale urbanistyki i architektury, działał też społecznie w harcerstwie.

W wojsku służył krótko, a po odbyciu służby wstąpił do milicji, chciał pracować z trudną młodzieżą. Przydzielono mu narkomanów, prowadził rozmowy uświadamiające z prostytutkami. Było to jak leczenie plastrem odciętej ręki.

W grudniu 1970 uczył się w szkole milicyjnej w Szczytnie. Widział doborowe oddziały WSW, które przebierano w niebieskie mundury. Jego też powieziono do Gdańska, na szczęście podchorążowie nie byli uzbrojeni, ale na własne oczy oglądał masakrę robotników. Uwierzył Gierkowi, że to się więcej nie zdarzy.

Potem został inspektorem do spraw wykroczeń. Dorabiał sobie do pensji kaskaderką, miał osiągnięcia w sporcie rajdowym, ale służbowo przestał awansować, przełożeni wyczuwali w nim rezerwę do poczynań reżimu.

Po sierpniu raz jeszcze próbował reformować socjalizm. Wybrany do wojewódzkiej komisji kontroli partyjnej, zabrał się do ścigania łapowników i złodziei grosza publicznego na wysokich stołkach, więc szybko pozbawiono go tej funkcji. Usiłował jeszcze założyć związek zawodowy milicjantów, co dopełniło miary: 28 września 1981 r. karnie wydalono go ze służby. Nie dostał nawet świstka od pracodawcy, nie mógł się więc odwoływać, zresztą rozchorował się, był wyczerpany nerwowo. Uratowało go to przed bezpośrednią zemstą ubecji, chociaż poznał jej długie ręce: po wyjściu ze szpitala nie mógł znaleźć pracy. Pomogli mu rzemieślnicy, zaczął pracować dla nich jako akwizytor.

16 grudnia znalazł się w więzieniu, najpierw w Sieradzu, potem Łowiczu. Oficjalnie nazywało się to internowaniem, a w domu czekała żona z małym dzieckiem, druga żona, bo z pierwszą związek rozpadł się parę lat wcześniej. Kiedy internowanie przedłużało się, podjął decyzję o głodówce. Po czternastu dniach zwolnili go do domu, był koniec marca 1982.

I znów zaczął jeździć jako akwizytor, później dostał pracę w przedsiębiorstwie polonijnym, a wreszcie założył własną firmę pośrednictwa handlowego.

Zwycięstwo „Solidarności" powitał z radością, ale nie myślał o powrocie do policji, nawet tej odnowionej. Nie można wciąż być kaskaderem, nawet gdy ma się za sobą szczęśliwe skoki z wieżowca czy udany przejazd samochodem tuż przed pędzącą lokomotywą. Choć żyłka ryzykanctwa kazała mu spróbować nowego chleba: zaczął wydawać tygodnik reklamowy „KAMA". Wszak jeszcze jako gliniarz pisywał opowiadania, niektóre drukował w „Odgłosach".

K.F.

Pasażerowie w panice uciekli z wagonu

Strzeż się tramwaju!

Dorota Galczyńska-Wędzik

Są pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Dlaczego to spotkało akurat jej córkę, zastanawia się Władysława Gulczyńska. Już nie ma sił, żeby płakać. Pijacy żyją, dranie mają się dobrze, a Dorota, chociaż nikomu nie zrobiła krzywdy, już nie przemówi do matki. A miała tylko dwadzieścia trzy lata.

Pani Władysława i jej mąż Zdzisław, starszy sierżant sztabowy zatrudniony na lotnisku w Łasku, bardzo chcieli mieć córkę. Urodziła się czternaście lat po Włodku, młodszym z synów, najwcześniej przyszedł na świat Zbyszek.

Ten ostatni poród pani Władysławy był trudny. Lekarze dla uratowania dziecka musieli wykonać cesarskie cięcie. Zrazu dziewczynka była słabowita, chorowała na nerki, nie raz uciekała matce na tamten świat, ale ją zawsze wyratowała, później była już zdrowa jak ryba.

Byli dobrą rodziną. Chłopcy wcześnie się usamodzielnili, a Dorota zamieszkała z rodzicami w ładnym, wielopokojowym mieszkaniu na Retkini. Uczyła się dobrze, słabiej szedł jej tylko rosyjski, bo prawie nie odbywały się lekcje. Zdecydowała się kontynuować naukę w Liceum Medycznym nr 1, od najwcześniejszych lat chciała być pielęgniarką. Miała już nawet upatrzoną pracę w szpitalu wojskowym przy ul. Żeromskiego, ale kiedy otwarto Centrum Zdrowia Matki Polki zgłosiła się na oddział ciąży powikłanej, skończyła nawet kurs w zakresie anestezjologii.

Swego przyszłego męża Roberta Wędzika poznała na krótko przed studniówką. Był wysoki, przystojny, nosił gustowne okulary, podczas gdy ona była niskiego wzrostu, metr pięćdziesiąt sześć. Nazywał ją Malusia. Chodzili ze sobą pięć lat, zanim wzięli ślub, on skończył Technikum Mechaniczne i poszedł do wojska. Służył w Mrągowie i Malborku, w lotnictwie jak przyszły teść.

Zachowała się taśma wideo z uroczystości zaślubin i wesela. Robert trzyma żonę w ramionach, tańczą walca z filmu „Doktor Żiwago", Dorota jest uśmiechnięta, ma na prawym policzku uroczy dołek. Podobno zawsze była pogodna, nie opuszczała ją otucha. Ślub miał miejsce 30 czerwca ubiegłego roku.

Robert wrócił z wojska 12 kwietnia tego roku, a dwudziestego piątego urodziła się Agnisia. Młodzi zamieszkali u rodziców Doroty, a właściwie na swoim, bo mieszkanie zostało przepisane na córkę. Robert Wędzik pomagał żonie w opiece nad dzieckiem, wstawał nawet w nocy, choć oczywiście gros obowiązków spadło na młodą matkę. Ale Dorota szybko przywykła do dodatkowych zajęć, nie były dla niej ciężarem. Zawsze była zaradna: potrafiła nawet wziąć do ręki wiertarkę i śrubokręt, żeby coś naprawić w mieszkaniu. Urządzała je tak, jak chciała, jak lubiła, praca paliła jej się w rękach, nie potrafiła tylko szyć. Planowała też szybki powrót do Centrum Zdrowia Matki Polki, nie zamierzała brać urlopu wychowawczego. Uważała, że z kwalifikacjami, jakie zdobyła, jej miejsce jest w szpitalu. Mimo bardzo odpowiedzialnej pracy, lubiła ją, wielu noworodkom uratowała życie, bo tam, na oddziale intensywnej terapii decydują sekundy.

W środę dziewiętnastego czerwca, kiedy pani Władysława Gulczyńska pojechała na cmentarz przy ul. Szczecińskiej, żeby położyć kwiaty na grobie siostry, młodzi, korzystając z pogody, wzięli Agnisię śpiącą w wózku i poszli na przystanek tramwajowy. Chcieli zrobić matce niespodziankę: zbliżały się jej imieniny. Dorota bardzo lubiła obdarowywać bliskich. Pierwszego czerwca podarowała prezenty wszystkim bratankom, a bratanicy Kasi kupiła drogie butki. Choć nie mieli za wiele pieniędzy, bo Robert dopiero podjął pracę po powrocie z wojska, wychodzili z założenia, że stać ich na jakiś drobiazg dla matki i teściowej będący dowodem pamięci. Tego dnia miał wprawdzie przyjść majster, żeby zakładać kafelki, ale mieszkanie zostało pod opieką pana Władysława Gulczyńskiego, ojca Doroty, który jako emeryt miał sporo czasu i dorabiał sobie układaniem boazerii, mógł więc przypilnować fachowej strony tej inwestycji.

Młodzi umyślili sobie pojechać do Centralu, gdzie najłatwiej wybrać jakiś prezent, jeśli nie na tym, to na innym stoisku. Wsiedli do „dziesiątki", która mogła ich podwieźć pod sam dom towarowy, ale tramwaj akurat nawalił, nawet musiała go spychać „ósemka", żeby nie tarasował drogi. Zaraz podjechała „dwudziestka", której trasa prowadzi z Retkini na Chojny ulicą Żeromskiego, skąd do Centralu spacerkiem nie jest tak daleko, trzeba tylko wysiąść na przystanku w pobliżu wiaduktu nad al. Mickiewicza.

„Dwudziestka" prowadzona przez Jerzego Wojciechowskiego, który już od października 1989 roku był motorniczym, pokonała zakręt przy ul. Kopernika i wjechała w ul. Żeromskiego. Tramwaj był stosunkowo nowy, wszedł do eksploatacji w ubiegłym roku, ale na przednim wozie miał uszkodzony pantograf. Wykruszony grafit nie przewodził napięcia, wobec czego Wojciechowski podniósł pantograf na drugim wagonie. Na Żeromskiego torowiska są wydzielone, tramwaje mogą rozwinąć sporą szybkość. Było mniej więcej wpół do pierwszej, kiedy „dwudziestka" zbliżyła się do przystanku przy szpitalu wojskowym.

Dorota i Robert Wędzikowie stali na tylnym pomoście wozu doczepnego „dwudziestki". Dorota przepuściła jakiegoś młodego mężczyznę, który przesunął się do drzwi, a sama zajęła jego miejsce tuż przy szybie

Są pytania, na które nie ma odpowiedzi. Gdyby ta zamiana nie nastąpiła?

Nikt z pasażerów tramwaju nie potrafi wyjaśnić, co się właściwie stało, usłyszeli tylko brzęk rozbijanej szyby. Robert z przerażeniem ujrzał, że wokół szyi żony owinął się gruby drut. Wszystko trwało ułamek sekundy. Głowa odłączyła się od tułowia Doroty i spadła na podłogę tramwaju, twarzą do góry. Tego obrazu nie zapomni, jak długo będzie żył. Zrazu były tylko drobne krople krwi. Dopiero, gdy ciało żony osunęło się powoli, krew chlusnęła strumieniem.

Tramwaj toczył się po szynach z jakieś dziesięć metrów siłą bezwładu, ale pasażerowie w panice zaczęli opuszczać wagon. Nad jezdnią zwisała „poprzeczka" podtrzymująca trakcję. Stanowił ją stalowy drut przeciągnięty między budynkiem oznaczonym nr 94 na ul. Żeromskiego a szpitalem wojskowym nieco ukośnie do osi jezdni. Widocznie „puścił" porcelanowy izolator zakończony metalowym uchwytem przytwierdzonym do muru domu.

Robert nie wie, jak wydostał się z tramwaju ani kto wyniósł wózek. Stał oszołomiony na ulicy, właściwie nie widząc niczego. Przyjechała karetka pogotowia, potem inna, większa. Jego dzieckiem, małą, niespełna dwumiesięczną Agnisią, zaopiekowała się

„Nie chowałem pieniędzy do kieszeni"

Cd. ze str. 1

– Byłem po prostu konsekwentny. Ciężko pracowałem na to, by rozwinąć swoją firmę. Zdecydowanie postawiłem na rozwój eksportu. I to się udało. Cały czas też inwestowałem w przedsiębiorstwo, nie chowałem pieniędzy do kieszeni. Wciąż otwierałem nowe branże. Takie myślenie i działanie się opłacało. Daje mi efekty do dziś.

– Na jakie branże się pan zdecydował?

– W tej chwili w ramach „Karimeksu" mam konfekcję, elektronikę, zakład suszenia warzyw, produkcję wód mineralnych, farb przemysłowych. Eksportujemy również odpady na Zachód. Jestem także właścicielem firmy importowo–eksportowej. Otworzyliśmy spółkę „Fantazy", która tworzy sieć barów. Otwieram również sieć sklepów pod nazwą Piccadilly. W Warszawie powstała spółka Vipress, której też jestem właścicielem. Będzie wydawać m.in. informator o Warszawie. Zresztą wielobranżowość wobec wciąż niestabilnej sytuacji w Polsce – zmiany ceł, podatków itp. – sprawdza się. Bywa, że czasami jakaś dziedzina dochodzi do zerowej opłacalności, ale na innej zarabia się więcej, a tradycje firmy zobowiązują.

– Czy to prawda, że „Karimex" brał udział w aferze spirytusowej?

– Nie mam o tym pojęcia. To bzdury.

– Dlaczego wyłożył pan pieniądze na założenie gazety codziennej? Opłaca się to panu?

– Jeżeli chodzi o prestiż – to tak.

– Na łamach gazety pisują publicyści sympatyzujący z ZCh-N i Porozumieniem Centrum. Czy pan jako właściciel gazety jest wierzący?

– Jestem niewierzący, ale szanuję wszystkich ludzi wierzących.

– Ma pan ponoć zamiar sprzedać tę gazetę?

– Jeżeli partie polityczne są zainteresowane, by ją kupić i zainwestować w jej rozwój – to czemu nie. Nie sprzedaję gazety dlatego, że to rzecz niedobra, ale wolę być z daleka od polityki. Poprzez gazetę nie chciałbym być wciągnięty w nurt spraw politycznych w Polsce. To czasami przeszkadza w biznesie.

– Czytałam niedawno swoiste porównanie „Karimeksu" do „Wólczanki". Okazuje się, że „Wólczanka", jedna z najlepszych firm w Polsce, wybrana przecież do prywatyzacji w pierwszym rzucie – miała mniejsze zyski niż pański „Karimex". To szokujące.

– To nie tak. „Wólczanka" jest, moim zdaniem, bardzo dobrym zakładem, a jej dyrektor jest moim przyjacielem. My nieźle prosperujemy, ale nie można powiedzieć, że i „Wólczanka" nie ma swojej marki. Ma stabilne rynki zbytu. Na pewno należy do przodujących zakładów w Polsce. Porównanie jest też nietrafne dlatego, że „Wólczanka" jest jednobranżowa, a „Karimex" rozwija się w wielu dziedzinach.

– A kupiłby pan akcje „Wólczanki"?

– Nie kupiłbym, ale nie tylko „Wólczanki". Żadnego z prywatyzowanych przez rząd zakładów bym nie chciał. Akcje są po prostu za drogie w stosunku do możliwych do przewidzenia zysków. Już nawet bardziej opłacałoby się trzymać pieniądze na oprocentowanym koncie bankowym. Sądzę, że może nieco bardziej warto kupić akcje jakiegoś prywatnego banku, firmy ubezpieczeniowej. Sam mam akcje Banku BIG S.A.

– „Karimex" jest wysoko notowany na liście eksporterów wśród firm zagranicznych. Był w 1989 roku w pierwszej pięćdziesiątce. Teraz jest wyżej?

– Zdecydowanie tak. W konfekcji eksport sięga ok. 95-98 proc. W innych dziedzinach produkujemy trochę na polski rynek.

– Jak wobec tego szef tak proeksportowo nastawionej firmy ocenia niedawną zmianę kursu dolara?

– Dla eksporterów było to korzystne posunięcie. Ale dla importerów – nieco mniej. Sam również jestem importerem np. elektroniki.

– Ile, pana zdaniem, powinien wynosić dziś kurs dolara w Polsce?

Foto: A. Zieliński

– Trzeba by to zanalizować w skali makro, używając bardzo precyzyjnych danych i zdecydować w zależności od celów sobie stawianych. Dziś kurs staje się nieco opłacalny dla eksportu, a zbyt wysoki dla importu. Zauważalny jest też spadek sprzedaży niektórych towarów importowanych, bo ich ceny poszły w górę. Na szczęście jednak nie jestem członkiem rządu.

– Gdyby miał pan doradzać dziś młodym biznesmenom – w co warto się bawić – co by pan powiedział?

– Przede wszystkim powiedziałbym, że robienie interesów w Polsce to nie zabawa. Bawiąc można się po prostu sparzyć. Najlepiej jednak zajmować się tym, na czym się człowiek zna.

– A pan zna się na wszystkich branżach w swojej firmie?

– Nie, ale udało mi się stworzyć ekipę młodych specjalistów, zgranych ludzi, do których mam zaufanie i którym mocno dziękuję.

– A o jakich interesach myśli pan w przyszłości dla siebie?

– Mam trochę pomysłów, ale dotyczą one zagranicy.

– Opłaca się już zarabiać pieniądze w Polsce i inwestować za granicą? To już ten czas?

– Oczywiście, że tak. Polska jest w okresie przejściowym i wciąż nie wiadomo, kiedy powstaną właściwe, stabilne warunki do prowadzenia interesów. Z samymi telefonami są wielkie problemy i nie tylko. Podobnie jest z transferami płatności w bankach, choć w tej dziedzinie jest już nieco lepiej.

– To gdzie konkretnie ma Pan zamiar inwestować?

– Są kraje, w których warunki są korzystne – pięcioletni okres zwolnienia z podatków, łatwość dostępu do siły roboczej, zapewnienie transferu zysków. Ale nie chciałbym na to pytanie odpowiadać wprost, dopóki nie zacznę.

– Na którym miejscu umieściłby pan Polskę pod względem korzystnych możliwości rozwoju biznesu – powiedzmy w Europie?

– Chyba po Portugalii. Polska w tym okresie przejściowym sporo straciła.

– Myśli pan też o ekspansji na rynki wschodnie?

– Zostawiłbym to młodym ludziom, którzy chcą trochę powalczyć na „dzikich" terenach. Jestem już zbyt ustatkowany, żeby o tym myśleć. Ale gdyby znaleźli się tacy, którzy chcieliby się tego podjąć – to proszę bardzo. Mogę sfinansować ich pomysły.

– A ile ma Pan lat?

– 40.

– Czy to prawda, że pana firmy zapłaciły w roku ubiegłym największy podatek dochodowy w Łodzi?

– Prawdopodobnie tak.

– Czy to znaczy, że jest pan najbogatszym człowiekiem w Łodzi?

– Nie wiem.

– Jak duży ma pan majątek, osobiste konta, konta firm, domy, wartości firm itp.?

– Nie jestem tego w stanie ocenić.

– A jakie obroty osiągnęły one w roku ubiegłym?

– To nie jest tajemnica. Około 450 mld zł w kraju i za granicą.

– Czuje się Pan bogatym człowiekiem?

– Tak i nie.

– Daje to panu satysfakcję?

– Nie ma się co wstydzić pieniędzy – ciężko trzeba było na nie pracować. To zresztą tylko środek, który pomaga w życiu. Ale powiem pani ze swojego doświadczenia, że szczęście jest ważniejsze. Pieniądze potrafią przynosić i szczęście i nieszczęście.

– Jakie nieszczęścia przyniosły panu pieniądze?

– Im jest ich więcej, tym przymus ich inwestowania, obracania nimi, robienia interesów jest coraz większy. Brakuje czasu na inne rzeczy, normalne, spokojne życie.

– Dlaczego tak bogaty człowiek jak pan mieszka w trzypokojowym mieszkaniu?

– Bo w moim bloku, gdy kupowałem mieszkanie od „Locum" – nie było większego, ale poważnie, najpierw sądziłem, że być może wrócę do Libanu, jak się uspokoi.

– Jeżeli przygotowuje pan sobie wielki dom, to podjął pan ostateczną decyzję?

– Chyba tak. Polska będzie moją stałą siedzibą, a w innych krajach – będą to tylko odskocznie. Zawsze będę wracał do Łodzi.

– Mówią o panu, że jest pan wiecznie niezadowolony ze wszystkiego. To prawda?

– Prezesada. Niezadowolony jestem wtedy, gdy interesy idą źle.

– Dużo ma pan takich?

– To minimalny odsetek.

– Co się panu nie udało?

– Produkcja papieru czerpanego.

– Potrafi pan przegrywać?

– Nie, i na szczęście do tej pory biznes przynosi mi sukcesy.

– Jest pan członkiem – założycielem Klubu Kapitału Łódzkiego. Po co on – pana zdaniem – powstał?

– Czasy są takie, że chyba warto wymieniać doświadczenia między sobą, mieć gwarancje rozmowy z poważnymi partnerami. Myślimy też o promowaniu polskiego biznesu wśród zachodnich kontrahentów. Chcemy pomagać instytucjom kulturalnym, szpitalom itp. Myślę, że Łodzi się przydamy.

– Bywa pan czasami w domu?

– O to trzeba by zapytać żony.

– Niech się pan przyzna, co ona o tym sądzi?

– Myślę, że pogodziła się już z tym, że bywam rzadko – takie jest życie biznesmena.

Rozmawiała:
Ewa Kluczkowska

Obok napisu: „Strajk okupacyjny", pojawiło się wypisane cyrylicą słowo: „Zabastowka"

Cd. ze str. 1

szymi dla ludzi. Nie sądźmy zbyt pochopnie, że ten „bazar" korzysta z jakichś szczególnych przywilejów i ulg. Za metr kwadratowy kupcy płacą sześćset tysięcy miesięcznie placowego. Haracz ten pobiera spółka „Domex", która podjęła się sprzątania i pilnowania terenu.

Do grudnia zyski osiągane przez „Domex" wpływały do kasy miejskiej. Od początku nowego roku Ratusz nie chce przyjmować pieniędzy, gdyż nie przedłużył umowy ze spółką. W lepszej sytuacji prawnej jest konkurencyjna spółka „Point", która zajęła część placu przylegającą do kolejowego dworca Warszawa-Śródmieście, ale też „Point" ma siedzibę w gmachu ratusza. Plotka głosi, że udziałowcami spółki są niektórzy radni albo ludzie powiązani z radą. Plotki takie są groźne, gdy nie można ich sprawdzić, a przecież spółka ma prawo do zachowania tajemnicy handlowej.

Po marcowej eksmisji z okolicy Domów Centrum, poszkodowani tą decyzją zorganizowali się w związek. Nosi on nazwę: Stowarzyszenie Pomocy Kupcom i został wpisany do rejestru sądowego z prawem działania na terenie całej Rzeczypospolitej. Jego celem statutowym jest inspirowanie i rozwijanie twórczych inicjatyw zmierzających do rozwoju prywatnego handlu i usług, przede wszystkim zaś reprezentowanie i obrona interesu kupców oraz usługodawców, a także podejmowanie skutecznych działań w dotarciu do opinii publicznej, kiedy zachodzi potrzeba obrony kupca.

Próbą siły związku było złożenie oferty na prowadzenie targowiska „Hala Mirowska". W odpowiedzi na nią z wydziału ochrony środowiska Urzędu Dzielnicowego Warszawa-Śródmieście nadeszło uprzejme, ale jednoznaczne pisemko podpisane przez zastępcę naczelnika inż. Mariana Sokalskiego. Oznajmił on, że oferta została odrzucona jako nie spełniająca warunków konkursu, zabrakło w niej bowiem rekomendacji policji. Z kolei podinspektor J. Stępień, naczelnik wydziału prezydialnego stołecznej policji poinformował uprzejmie na piśmie, że *„Policja nie jest kompetentna do udzielania rekomendacji"*. W ten sposób koło się zamknęło.

Stowarzyszenie było przygotowane na takie dictum, był to dla członków probierz intencji Ratusza. W siedzibie związku na Ciołka 13 mówią, że w samym Śródmieściu powinno się podwoić liczbę sklepów, aby osiągnąć jaki taki standard, bazar nie zastąpi sieci handlowej z prawdziwego zdarzenia, może ją tylko uzupełniać. Burmistrz, a za nim warszawska prasa, powtarza wciąż, że bazar to anarchia. Kupcy z placu Defilad twierdzą, że burmistrz lubi krew, świeże mięso.

Ale kupcom z placu Defilad sprzyjało jeśli nie niebo, to przynajmniej papież. Pielgrzymka Jana Pawła II odroczyła rozprawę z „handlarzami", chociaż dostojny gość nic o tym nie wiedział. Kiedy Jego Świątobliwość odleciał do Rzymu, Ratusz miał rozwiązane ręce.

Po Warszawie krążyła uporczywa plotka, że zdeterminowani kupcy będą się bronić. Mówiło się o beczkach z benzyną, żelaznych łomach i broni gazowej. Plotka ma to do siebie, że nie bardzo można sprawdzić, skąd wyszła. Kupcy z placu Defilad twierdzą, że może nie byłoby to takie trudne. Podejrzewają o rozsiewanie tej pogłoski tych samych ludzi, którzy rozpuszczają wieści o pijaństwie na bazarze, azylu dla prostytutek i innych niecnych sprawkach, o niszczeniu środowiska naturalnego, brudzie i załatwianiu potrzeb fizjologicznyh na świeżym powietrzu. Tymczasem bazar korzysta z przestronnych toalet pobliskiego Pałacu Kultury. Co prawda w ostatnich dniach zaczęto im tam robić trudności, niemal legitymować wchodzących, ale pieniądze potrafią skruszyć najtwardsze zamki i pałac pozostał toaletą bazaru.

Symptomem kroków wojennych Ratusza było pośpieszne grodzenie targowiska żelaznymi płotkami z grubych rur, może nawet tymi samymi, które służyły do utrzymania porządku podczas papieskiej pielgrzymki. A kiedy burmistrz ogłosił swoje ultimatum, którego termin upływał w niedzielę 23 czerwca, kupcy ogłosili strajk okupacyjny barykadując samochodami drogi wjazdowe i wywieszając strajkowe postulaty. Tym razem opinia publiczna była przeciw nim, prasa warszawska nie poparła ich inicjatywy.

– *Bardzo jesteśmy za to wdzięczni niezależnej prasie* – mówią ironicznie ludzie z komitetu strajkowego. – *A także radiu i telewizji, na pewno również niezależnym.*

W tych dniach dziennikarze stołeczni stracili kredyt zaufania u kupców. Kiedy jedni czuwali dzień i noc na porozkładanych łóżkach polowych, drzemiąc w zaparkowanych samochodach, inni organizowali protest. W ruch poszły nie tylko papierki rozsyłane do odpowiednich urzędów, ale także transparenty. Zatrudniono grupę prawników, nie poniechano jednak również bardziej bezpośrednich form nacisku na władze, tym bardziej że pomiędzy warszawską gminą a wojewodą powstał spór kompetencyjny. Plac Defilad, jak twierdzą prawnicy, jest własnością skarbu państwa i burmistrzowi nic do niego, w kapitalizmie przecież własność to rzecz święta.

Deputacja kupców, aby nie wzbudzać sensacji, dwoma samochodami udała się pod Belweder. O dziesiątej rano rozpoczęli tam pikietę. Jakiś wysoki urzędnik kancelarii prezydenckiej zachował się wobec protestujących bardzo przyzwoicie, przyjął petycję i przeprosił, że w tej chwili nie ma kontaktu z prezydentem, który przebywa w Gdańsku.

Deputacja nie poprzestała na tym i pieszo poszła pod siedzibę Rady Ministrów. W pewnym momencie więcej było policjantów niż demonstrujących, nadjeżdżały niebieskie nyski i ciężarówka. Kupcy oświadczyli przedstawicielowi rządu, który się wprawdzie przedstawił, lecz jego nazwisko utonęło w gwarze, że może dojść do rozlewu krwi podczas usuwania tych budek. Domagali się poinformowania któregoś z ministrów. Przedstawiciel władzy wykonawczej Rzeczypospolitej oświadczył buntownikom: *Żądać to wy sobie możecie*. I zniknął w gmachu. Wtedy rozwinęli transparenty: PROTEST KUPCÓW Z PLACU DEFILAD i WASZE KAMIENICE NASZE ULICE i wrócili do swoich.

O godzinie 18 radio „Zet", najpopularniejsza w Warszawie rozgłośnia, nadało następujący komunikat: *„Prezydent m. Warszawy Stanisław Wyganowski w porozumieniu z wojewodą warszawskim wstrzymał akcję wyrzucania kupców. Prezydent Wyganowski uważa, że w postępowaniu egzekucyjnym nie dopełniono koniecznych wymogów formalno-prawnych, a burmistrz Śródmieścia nie wykorzystał wszystkich dostępnych możliwości negocjacji. W związku z decyzją prezydenta miasta komitet strajkowy właścicieli straganów na placu Defilad wydał oświadczenie"*.

Wojna na dole

W chwilę później przedstawicielka tego komitetu zmęczonym i niewprawnym głosem zapoznała słuchaczy z postanowieniem kupców. Z dokumentu wynikało, że akcja protestacyjna zostaje zawieszona, ale komitet strajkowy nie ulega rozwiązaniu.

Kiedy przybyłem na plac Defilad po ogłoszeniu tego komunikatu, ludzie wiedzieli już o odroczeniu eksmisji do 22 lipca i trwających pertraktacjach, ale emocje jeszcze nie opadły. Przewodniczący komitetu strajkowego, nie podając swego nazwiska, odpowiedział półsłówkami na moje pytania, a kiedy zorientował się, że nagrywam materiał dźwiękowy, chciał mi skonfiskować taśmę. Dwie pełne napięcia doby wyczerpały nerwowo ludzi, tylko przewodniczący Stowarzyszenia Pomocy Kupcom Ryszard Cielnicki, wspomagający strajk jako doradca, nie stracił głowy i powiedział mi do mikrofonu kilka gorzkich prawd. Handluje stosunkowo od niedawna. „Tąpnęło" nim z Akademii Medycznej, gdzie pracował jako technik–elektronik, a zarabiał miesięcznie mniej niż byle jaki pomocnik murarski w ciągu doby. A tu rodzina, dzieci. Wyszedł z założenia, że w Polsce wszyscy mają doświadczenia kupieckie. Jedni rodzą się ze smykałką do handlu, inni nabierają doświadczenia w ciągu pierwszych kilku godzin życia, a tylko niektórzy nie nabywają ich nigdy.

– *Chce pan, żebym powiedział serio?* – rzucił po chwili. – *Nie powinno się zwalczać tego, co jest rzeczywistą podporą rodzącego się nowego systemu. Kupiectwo przynosi dochód, nie tylko kupcowi, także społeczeństwu. Niestety, zapominają o tym niektórzy decydenci, którzy powiesili mózg w szatni, i teraz nie mogą znaleźć numerka. Przez handel można szybko odbudować te grupy zawodowe, które zostały skreślone przez komunizm, te warstwy, które stanowią podstawę zdrowego systemu demokratycznego. One się tu odtwarzają.*

Na bazarze na równych prawach pracuje dziewięćdziesięcioszześcioletni dziadek (mają tu takiego) i maturzysta, Polak i cudzoziemiec. Nieprzypadkowo obok napisu: STRAJK OKUPACYJNY pojawiło się wypisane cyrylicą słowo: ZABASTOWKA. Bazar to szkoła ludzi zaradnych, którzy nie wyciągają ręki po zapomogę.

– *A co będzie potem?* – zapytałem.

– *Do dwudziestego drugiego lipca jeszcze daleko, wiele się może zdarzyć. Wszyscy tu wierzą, że zwyciężymy. Podobno opowiedział się za nami prezydent. Pan prezydent* – dorzucił ktoś z boku.

Pomyślałem sobie, że w wojnie na dole także potrzebna jest silna wiara.

Konrad Frejdlich

Kiedy odrzuci nas cywilizowana Europa?

Pirat na ekranie

Niedawno posiadacze telewizji satelitarnej przekonali się ze zdziwieniem, że „Film Net" emituje niemy program. Ale stacja ta lojalnie, w kilku językach, informowała, że nadawane filmy mają dodatkowo zakodowany dźwięk. Nasi znakomici specjaliści od wszystkiego niebawem pewnie złamią i ten kod, i na rynku pojawią się dodatkowe dekodery. Tylko że skutek tego będzie taki, iż niebawem w ogóle nic nie można będzie oglądać w telewizji satelitarnej, gdyż większość stacji telewizyjnych w walce z piractwem zastosuje dodatkowe kody. I tak nasz radosny marsz przez kosmos do Europy zostanie skutecznie zastopowany.

Telewizja satelitarna jest bowiem jednym ze źródeł kasetowego piractwa. Każdy, kto posiada sprawny telewizor oraz dobry magnetowid może nagrać sobie na kasetę dowolny film. Jeśli robi to dla siebie – pół biedy. Ale robi się tak również dla handlu kasetami. A to jest już przestępstwo.

Naiwny na rynku

Usłyszałam takie zwierzenie.

– *Postanowiłem otworzyć wypożyczalnię kaset. Załatwiłem licencję w Biurze Komitetu Kinematografii. Wynająłem lokal. Kupiłem 30 oryginalnie nagranych kaset. Zarejestrowałem się w odpowiednim Urzędzie Skarbowym. Wywiesiłem piękny szyld. Otworzyłem wypożyczalnię i czekałem na klientów. Następnego dnia, 40 metrów od mego punktu wypożyczeń rozstawił stolik jakiś młodzieniec, który miał 60 kaset. Kupiłem moje kasety za 6 milionów zł. Na każdej kasecie u mnie był jeden film. On miał kasety „Panasonic", „Conica" z dwoma filmami. Ja brałem za wypożyczenie 6 tysięcy zł, on – tylko 5 tysięcy. On miał świetne nagrania i lepszy wybór, bo legalne firmy, które zajmują się nagrywaniem i rozprowadzaniem oryginalnych kaset działają z opóźnieniem. On poza tym sprzedawał kasety, a ja nie mam na to zezwolenia. W końcu go ukarano. Zapłacił około 20 milionów złotych kary i zmienił miejsce sprzedaży. Nadal sprzedaje dziennie ponad 50 kaset po 75 tysięcy każda, co daje dzienny obrót 3 750 000 złotych. Gdy do tego dodamy 2 miliony zł z wypożyczeń dziennie, to jego dzienny obrót przekracza 5 milionów zł. I on nie płaci żadnych podatków.*

Jak działają piraci?

Właściciel wypożyczalni i autor zwierzeń – nazwijmy go Panem Zenkiem – dodał do tego jeszcze i taki fakt, że ów młodzieniec i jemu podobni wypożyczają kasety w legalnie działających wypożyczalniach, kopiują i sprzedają już jako własne.

Stoliki pełne kaset można spotkać niemal wszędzie. Na dworcach, stadionach, ulicach, placach. Jest to towar łatwy do transportu, można go eksponować w każdym niemal miejscu. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że każdy sprzedający kasety wideo sam je przegrywa, sam tłumaczy teksty, nagrywa i sprzedaje. Stoi za nim najczęściej cały piracki przemysł kasetowy. Przemysł ten dysponuje odpowiednią aparaturą, kamerami wideo, zespołami tłumaczy, lektorów. I nie płaci podatków. Gdy któryś ze staczy wpadnie, zapłacenie zań odpowiedniej i nawet wysokiej kary nie stanowi problemu.

Nasi subtelni krytycy byli pełni zachwytu, że tuż po premierze światowej słynnego już filmu „Tańczący z wilkami" odbyła się polska prapremiera. Nie mieli jednak pojęcia, że film ten jest już na kasetach wideo i za odpowiednie pieniądze można go kupić lub wypożyczyć. Inny słynny film „Ojciec chrzestny III" był w Polsce na kasetach jeszcze przed oficjalną światową premierą. Wiele filmów kopiuje się kamerami wideo w kinach Bangkoku, przywozi do Polski i tu się powiela, tłumaczy i rozprowadza.

Piracką produkcją kaset wideo zajmują się też legalne firmy. Przykładem może być Spółdzielnia „Wega" z Nałęczowa. W łódzkiej filii tej spółdzielni policja zakwestionowała 1000 kaset. Sprawą zajęła się prokuratura. Ale filia nadal rozprowadza kasety.

Kto walczy z piractwem?

Do walki z piractwem powołano Spółkę (z ogr. odp.) *„Rapid-Asekuracja"*, która ma prawo kontrolowania tylko legalnie działających wypożyczalni. Według relacji pracowników „Rapid-Asekuracji" w Łodzi jest w tej chwili około 300 wypożyczalni. Z tego jedna trzecia działa zgodnie z wszelkimi przepisami i są to dobre wypożyczalnie; jedna trzecia ma kasety legalnie produkowane i obok nich pirackie; jedna trzecia nie ma żadnych zezwoleń i rozprowadza pirackie kasety. Dane te są oczywiście szacunkowe, bowiem rynek kaset wideo jest płynny. Jedne wypożyczalnie powstają, inne upadają. Instaluje się je tam, gdzie tylko znajdzie się kawałek wolnej przestrzeni. Widziałam na przykład wypożyczalnię kaset wideo na Poczcie Głównej w Łodzi.

Jeden z właścicieli wypożyczalni kaset, z którym rozmawiałam, powiedział wprost: *U nas każdy może być wypożyczającym, nawet analfabeta.* – Ta opinia wcale nie jest przesadzona. Żeby zostać wykwalifikowanym bibliotekarzem trzeba ukończyć odpowiednie studia, kursy, żeby wypożyczać kasety wideo – nie trzeba nic kończyć. Mój rozmówca twierdził, że nie słyszał o takim przypadku, żeby Ministerstwo Kultury i Sztuki odmówiło komuś, kto prosił o zezwolenie na założenie wypożyczalni kaset wideo.

Grono legalnych najpoważniejszych producentów kaset wideo tworzą: ITI Mariusza Waltera chwalona jest jako dobra i rzetelna, dbająca o jakość i poziom filmów; „El–Gaz", który produkuje masowo filmy karate, kung-fu i temu podobne, na dość niskim poziomie; „Video-Rondo", które nie cieszy się dobrą marką; „Top–Video".

Jacy są klienci?

Pan Zenek: *Przyszli do mnie starszy pan i starsza pani. Bardzo nobliwi. Budzili zaufanie. Wzięli cztery kasety. Spisałem wszelkie dane z dowodów osobistych. Okazało się później, że mieli dowody fałszywe. Jestem „do tyłu" na 4 kasety. Pobiegłem na policję. Popatrzyli na mnie ze współczuciem. A jedna kaseta kosztuje od 250 do 350 tysięcy złotych. Powinienem od każdego wypożyczającego brać po 300 tysięcy złotych kaucji. Ale kogo na to stać? Więc ryzykuję.*

Od innego właściciela wypożyczalni kaset dowiedziałam się, że ITI Mariusza Waltera posiada „czarną listę" osób, którym nie należy wypożyczać kaset. Ale ta lista do właścicieli wypożyczalni jakoś nie dotarła.

Klienci stali się bardzo wymagający. Kiedyś powodzenie miały przede wszystkim filmy erotyczne i pornograficzne. To się już ludziom przejadło. Dziś domagają się filmów amerykańskich, sensacyjnych, żeby krew się lała. Są i tacy, którzy przychodzą z zeszytami, gdzie mają zanotowane, jakie filmy już widzieli, jakie powinni zobaczyć. Największe powodzenie mają „Tańczący z wilkami" i „Ojciec chrzestny III", ale te filmy pochodzą z pirackich nagrań i przyzwoite wypożyczalnie ich nie mają.

– *Przy niskiej cenie, jaką biorę za wypożyczenie, tj. 6 tysięcy zł* – mówi Pan Zenek – *koszt kupna kasety wraca się po 50 przegraniach. Ale przy niedbalstwie klientów po 50 przegraniach nie ma już kasety.*

Zdarzyło się i tak, że ktoś spiął taśmę biurowym spinaczem, a następnemu klientowi zepsuł się przez to magnetowid. Klienci nie dbają o magnetowidy i odtwarzacze. Po co najmniej 3 miesiącach powinno się czyścić głowicę. Mało kto o tym wie. Kasety przyniesione z mrozu czy upału nie powinny być natychmiast wkładane do magnetowidu, powinny nabrać pokojowej temperatury. Nie wszystkie kasety są dobrej jakości. Niszczą głowice, a to później odbija się na taśmie.

Pan Zenek: – *Nie zgadnie pani, kto najwięcej pożycza kasety? Bezrobotni. Znam takich. Biorą dziennie po 3-5 i spędzają przed telewizorem ponad 10 godzin. Dla zabicia czasu.*

Pan Zenek powiedział też, że zmorą właścicieli wypożyczalni kaset są tanie i złe odtwarzacze, które szybko niszczą taśmy. Zaliczył do nich „Samsungi" i „Gold Stary". Zapytany, jak idą kasety z polskimi filmami? – wzruszył ramionami. – *Jedynie szkolne lektury* – powiedział.

Dlaczego trzeba walczyć z piractwem?

Pirackie nagrania kaset nie są tylko polską specjalnością. Dokonuje się również pirackich nagrań na kasety magnetofonowe. Nagrać wprowadzie może każdy, ale i tu mamy do czynienia z całym przemysłem. Nikt przecież sobie domowym sposobem nie wydrukuje wielobarwnych etykiet. To piractwo jest chyba jeszcze groźniejsze od filmowego. I trudniejsze w zwalczaniu.

Zwalczać piractwo trzeba przede wszystkim dlatego, że jest to naruszenie prawa. Jeśli Rzeczpospolita Polska ma być rzeczywiście państwem prawa, to nie może tolerować żadnego piractwa, bo ono skutecznie powstrzyma nasz, osławiony już, „marsz do Europy". Cywilizowana i zorganizowana Europa nie będzie tego długo znosić. Amerykanie na przykład już zdecydowanie wystąpili przeciw piractwu. Z tego powodu nie wzięli udziału w festiwalu filmów w Moskwie. A zatem tolerowanie piractwa grozi ograniczeniem, a może i zerwaniem kontaktów kulturalnych z Zachodem. Jest to bowiem naruszenie międzynarodowych zobowiązań do ochrony praw autorskich i edytorskich.

Ale te argumenty nie wzruszają piratów. Oni robią wielki „szmal". Idzie im to dobrze. Nikt im w tym nie przeszkadza.

Bogda Madej

Samotna kobieta prosi Pana Prezydenta o eutanazję

Umrzeć z godnością

Minister pracy i polityki socjalnej, Michał Boni, nie zna łodzianki Barbary Jędrzejewskiej. Nawet nie domyśla się jej istnienia. Za to Barbara Jędrzejewska zna dobrze ministra Boniego. Słucha jego wystąpień w radio, ogląda w telewizji. Gromadzi wycinki z prasy z jego wystąpieniami. Barbara Jędrzejewska oskarża ministra Boniego o to, że wydał na nią wyrok powolnej śmierci w poniżeniu, uwłaczającym ludzkiej godności.

Wyrok śmierci

o którym mówi Barbara Jędrzejewska, nazywa się w języku urzędowym rozporządzeniem ministra z dnia 28 lutego 1991: **„W sprawie szczegółowych zasad ZWROTU przez świadczeniobiorcę wydatków na USŁUGI OPIEKUŃCZE"**. Paragraf numer cztery rozporządzenia głosi, że osobom, których dochód na głowę w rodzinie przekracza najniższą emeryturę usługi opiekuńcze mogą być przyznane POD WARUNKIEM pokrycia części lub całości kosztów świadczenia – co też dalej określa precyzyjnie szczegółowa tabelka.

Barbara Jędrzejewska nigdy nie miała fartu w życiu. Tym razem szczęście posiadania najniższej emerytury lub renty również ją ominęło. Niestety, jej I grupy renta inwalidzka jest wyższa od tego optymistycznego progu 595 tys. aż o całe sto dwadzieścia siedem tysięcy złotych! Co gorsza – poza ową rentą otrzymuje humanitarny zasiłek pielęgnacyjny w wysokości 178.500 zł miesięcznie, który dotąd nie był wliczany do dochodu na głowę, ale odtąd jako żywo już jest, i przez niego to Barbara Jędrzejewska znalazła się w drugiej grupie szczegółowej tabelki ministra Boniego. Ta dotyczy wszystkich, korzystających z opieki społecznej, których dochody w postaci rent oraz dodanych zasiłków pielęgnacyjnych przekraczają kolosalną wprost kwotę 892.500 zł miesięcznie. Dlatego Barbara Jędrzejewska, jeśli chce otrzymać opiekę siostry PCK oraz tzw. opiekę sąsiedzką, to w myśl rozporządzenia ministra, działającego obligatoryjnie od dnia 1 maja tego roku, musi zapłacić siostrze PCK 10 proc. jej kosztów, a za opiekę sąsiedzką zwrócić 240 tys. zł miesięcznie.

I to jest sprawiedliwe. Tak powinno być. Lata Peerelu zdemoralizowały naród. Dość dawania

za darmochę! –

twierdzą co poniektórzy posłowie Rzeczypospolitej Polskiej. Człowiek, który ma miesięcznie 600 tys. złotych, może wziąć swój los w swoje ręce! – zacytował oświadczenie pewnego posła pracownik Zarządu PCK w Łodzi. Ale nie chciał ujawnić jego nazwiska, zaś swoje zastrzegł do wiadomości redakcji. Powiedział, że się boi, bo ma jeszcze trochę do emerytury.

Ręce Barbary Jędrzejewskiej od prawie trzydziestu lat są chore na GPP: gościec przewlekle postępujący. Dziś nie utrzymają nawet łyżeczki do herbaty. Nogi też są bezwładne, choroba zniszczyła w nich mięśnie, zżarła tkankę. Barbara Jędrzejewska jest całkowicie uzależniona od „usługi opiekuńczej". I chociaż o takich ludziach jak ona, zamkniętych za ścianami swego cierpienia, choroby, kalectwa, izolacji i samotności – biogramów się nie układa, personaliów nie spisuje, bo bez zasług oni, ci outsiderzy wyrzuceni poza nawias normalnego życia społecznego, i nie pracują a żyją; obciążając budżet państwa oczekują na darmochę – specjalnie dla anonimowego (niestety!) posła, którego tak obawia się pracownik PCK

personalia

Barbary Jędrzejewskiej. Urodzona w 1934 r. w łódzkiej rodzinie urzędniczej. Dwóch starszych braci. Ojciec aresztowany w 1941 r., więziony na Sterlinga, wywieziony do Oświęcimia, skąd już nie powrócił. Bracia (16, 18 lat) aresztowani, zginęli w Gross-Rosen. Pełne sieroctwo od siedemnastego roku życia: matka umiera na serce w 1951. Studia...Kto tu mówi o studiach? Jakim sposobem? Praca po biurach, w administracji. Z powodu postępującego gośćca renta inwalidzka w 31 roku życia. Samotna. Obecnie pobiera 722 tys. renty plus zasiłek pielęgnacyjny 178.500 zł.

Powinna się cieszyć, że ma aż tyle. O pięćdziesiąt procent więcej ma od tego „człowieka, który za 600 tys. może już swój los wziąć w swoje ręce". Więc luksus ma. Na jakiej podstawie uważa, że się ją skazuje na powolną śmierć? Po co wydzwania podróżnych instytucjach, urzędach, wysyła listy do Biura Poselskiego z pytaniami, równie demagogicznymi: dlaczego odbiera mi się moje życie? W wysokich urzędach odpowiadają jej: Pani nie przysługuje zwolnienie z opłat. Pani ma za

wysoką rentę.

Ale nie tylko Barbara Jędrzejewska demagogicznie się wychyla. Chora na SM, pani S. również. Inni też. Polski Czerwony Krzyż w Łodzi i woj. łódzkim ma pod opieką (posługując się językiem urzędowym: „świadczy usługi opiekuńcze") około półtora tysiąca osób. Liczba ta płynna, niestała, bo śmierć występuje tu w roli naturalnego regulatora. Większość podopiecznych PCK to ludzie chorzy na stałe, obciążeni miażdżycą, innymi chorobami wieku starczego. Są również z SM, są sparaliżowani po wylewach, są z chorobą Parkinsona, z nadciśnieniem tętniczym, są cukrzycy, reumatycy, z GPP lub tacy, których zżera rak. Jest czternastoletnia dziewczynka z porażeniem mózgowym od urodzenia. Większość podopiecznych powinna być hospitalizowana, inni mogliby dobrowolnie udać się do domów „spokojnej starości". Boże miłosierny, nigdy, nigdy! – szczątkowe dłonie Barbary Jędrzejewskiej trzepoczą po bezwładnych kolanach. Dla tych wszystkich, którzy uważają, że darmocha została sprawiedliwie ukrócona, należy tu, w tym miejscu powiedzieć, że jeżeli chodzi o „aspekt ekonomiczny zagadnienia przewlekle chorych" to koszt ich opieki w domu, nawet tej całkowicie za darmochę, jest dwunastokrotnie niższy od pobytu w szpitalu i tańszy jest również od pobytu w słonecznych miejscach spokojnej starości. No, ale uwaga powyższa jest w zasadzie bezprzedmiotowa, ponieważ szpitale tak ciężko przewlekle chorych nie przyjmują, bo szpitale nie są umieralniami dla takich, którym często nic innego nie pozostaje poza oczekiwaniem na ad patretres właśnie. W takim kontekście, rzeczywiście: biedne państwo należy odciążyć a koszty przenieść na chorych. Niech płacą. Mają przecież za wysokie renty.

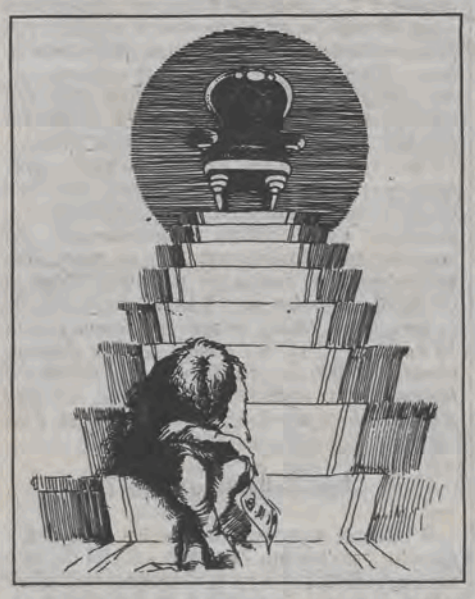

Rys. Dariusz Romanowicz

Po miesiącu działania rozporządzenia ministra Boniego w Łodzi i woj. łódzkim zrezygnowało z dobrodziejstwa opieki 210 osób. Wielu chorych zmniejszyło ilość godzin opieki do jednej, wielu wyrzekło się opieki sąsiedzkiej, tej płatnej. Kierownik punktu PCK Łódź-Śródmieście, dyplomowana pielęgniarka Małgorzata Cieślik twierdzi, że przynajmniej trzy czwarte z tej liczby chorych nie będzie miało wkrótce innego wyjścia i powróci na „łono" opieki. Na razie liczą, że jakaś litościwa ręka sąsiedzka poda im za darmo szklankę herbaty, nakarmi, umyje, prześciele łóżko, wyklepie odleżyny. Lecz litościwych rąk jest mało, więc kiedy

zaczną gnić w łóżkach,

załamią się, wysupłają kosztem żywności na tę chociaż godzinkę, dwie dziennie. Barbara Jędrzejewska nie chce gnić, broni swego prawa do życia. Jakie ono jest, takie jest, los nie obdarował jej innym, nie miała wyboru. Barbara Jędrzejewska na swoje własne nieszczęście nie jest zmiażdżycowaną staruszką, której obojętne, czy leży w odchodach czy na przesłanej pościeli. Barbara Jędrzejewska zachowała pełną sprawność intelektualną, a stan jej kalectwa wymaga szczególnej opieki. Siostra PCK przychodzi do niej pięć razy w tygodniu na cztery godziny. Niepełne, ponieważ teraz skazani na opiekę pokrywają także „dojście" siostry PCK. Tej nie wolno już płacić za czas dojazdu do chorych, ten czas został wliczony w godzinę „usługi opiekuńczej". A że siostra nie przefrunie w pięć sekund z miejsca na miejsce, urywa się z godzin opłacanych przez chorych te piętnaście czy dwadzieścia minut. Minister Boni zadbał o precyzyjność wyliczeń pedantycznie. Nie wie, czym jest dla Barbary Jędrzejewskiej owe piętnaście choćby minut. Siostra Małgosia w ciągu czterech godzin minus dojazd musi u Barbary Jędrzejewskiej przygotować całodzienny posiłek, musi ją umyć, nakarmić, zrobić zakupy, sprzątnąć basen, i tak dalej, i tak dalej. W wolne soboty, niedziele i wszystkie święta Barbara Jędrzejewska jest zdana na płatną sąsiadkę, która wykonuje wszystko to, co siostra PCK, a ponadto w ramach „etatu" robi generalne porządki i opiera chorą. „Etat" wynosi aż 300 tys. zł. Z czego od 1 maja 240 tys. pokrywać ma chory.

W normalnych państwach kapitalistycznych teraz, a i w Polsce międzywojennej PCK nie musiało

wyciągać proszącej ręki

do budżetu państwa. Przed wojną PCK posiadało własne majątki: szpitale, sanatoria, gospodarstwa rolne. Łódzkie PCK było właścicielem szpitala na Krzemienieckiej, Stacji Krwiodawstwa, Pogotowia Ratunkowego, gospodarstwa pod Rogowem. Dekretem z 1949 własność PCK przeszła na państwo. Gdyby teraz nowe państwo nieludowe już zechciało zwrócić PCK jej własności, pomoc dla takich jak Barbara Jędrzejewska pozostałaby bezpłatna. Ale póki co w ramach żądań rewindykacyjnych swoje własności odzyskują przemysłowcy, ziemianie czekają w długiej kolejce, a prezydent pragnie, aby hrabinie Branickiej zadośćuczynić w imię sprawiedliwości. I póki co, PCK w Łodzi otrzymało eksmisję z budynku przy Piotrkowskiej, bo zgłosił się przedwojenny właściciel. Zgłosił się i otrzymał...

Proszącej ręki w Polsce międzywojennej nie musieli wyciągać i biedacy. PCK ze swoich własnych funduszy dawał bezpłatną pomoc społeczną. W szarpanej kryzysem gospodarczym młodej Polsce Sejm uchwalił 16 sierpnia 1923 roku ustawę, regulującą zasady odpłatności za pomoc. Bezpłatna przysługiwała: osobom samotnym, jeśli ich dochód nie przekraczał 250 procent najniższej emerytury; w rodzinie: jeśli dochód na osobę nie był wyższy niż 150 procent najniższej emerytury. A w 1936 roku Sejm uchwalił ustawę o opodatkowaniu na rzecz PCK wszystkich dochodowych imprez. Tak było. Ale nie jest. Sankcjonowana w PRL ustawa z 1923, zakończyła swój żywot wraz z Ustawą 506, podpisaną przez prezydenta W. Jaruzelskiego w dniu 29 listopada 1990 roku. Artykuł 34, punkt 1 ustalał granicę najniższej emerytury jako próg prawa do bezpłatnej pomocy społecznej. Tylko, że w listopadzie 1990 r. ceny kształtowały się całkiem nieporównywalnie z dniem dzisiejszym, a ściągany procent od chorych był wciąż symboliczny i wynosił tysiąc złotych, dwa tysiące...

Wyciągać ręki po prośbie nie chce też Barbara Jędrzejewska. Chce natomiast napisać do prezydenta Wałęsy list. Podyktuje siostrze Małgosi tak:

Szanowny Panie Prezydencie,

po odliczeniu z mojej renty wszystkich świadczeń oraz opłat za opiekę społeczną, pozostanie mi na życie 218.960 zł. Czy Pan Prezydent uważa, że jest to kwota wystarczająca na to, aby żyć? Mnie, Panie Prezydencie, odbiera się teraz moje życie. A skoro się je odbiera, to proszę tego dokonać miłosiernie, przez eutanazję. Załączam szczegółowy „koszyk" moich wydatków i przychodów.

Koszyk Barbary Jędrzejewskiej:

Czynsz: 111.230 zł. Światło i gaz (po podwyżce): 103.230 zł.Telefon (rachunek za maj): 71.320. Środki czystości: 3 mydełka raz na miesiąc po 2 tys. za sztukę; jedna tubka pasty do zębów: 8 tys., 2 proszki do prania po 9 tys., płyn do mycia basenu: 11 tys., płyn do zmywnia naczyń 8 tys., szampon jeden na trzy miesiące 14 tys., lignina, 6 paczek miesięcznie (potrzebna na podkłady) po 2,5 tys. Gazety (proszę wybaczyć mi ten luksus!): jeden dziennik i jeden tygodnik, „Solidarność". Po podliczeniu tego, co powyżej i odjęciu od mojej renty inwalidzkiej I grupy oraz dodatku pielęgnacyjnego otrzymuję sumę na miesięczne utrzymanie: 218.960 zł.

W dzielnicy Łódź-Śródmieście jest jedna taka szczęściara, która na podstawie rozporządzenia z dnia 28 lutego 1991 roku została zwolniona z odpłatności za „usługi opiekuńcze". Jej renta wynosi 535 tys. złotych. Taka to sobie pożyje!

Ewa Ostrowska

P.S. Rozporządzenie ministra pracy i polityki socjalnej opiera się o Ustawę 506. Artykuł 1 punkt 1 Ustawy głosi: „Pomoc społeczna jest instytucją polityki społecznej państwa mającą na celu umożliwienie osobom i rodzinom przezwyciężenie trudnych sytuacji życiowych, których nie są one w stanie pokonać, wykorzystując własne środki, możliwości i uprawnienie.

Artykuł 2, punkt 1 zaczyna się następująco: **„Celem pomocy społecznej jest zaspakajanie niezbędnych potrzeb życiowych osób i rodzin oraz UMOŻLIWIENIE IM BYTOWANIA W WARUNKACH ODPOWIADAJĄCYCH GODNOŚCI CZŁOWIEKA (–).**

O podobnym zdarzeniu nie słyszano nigdy w MPK.

Strzeż się tramwaju

Cd. ze str. 4

Zdzisława Skonieczka, dziewiarka z zakładów Kunickiego. Wózek był rozbierany, podwozie odłączało się od kolebki. Ujęła tę kolebkę, bo dziecko płakało, było zasypane szkłem. Robert miał jeszcze tyle przytomności, że zapytał, czy nieznajoma zaopiekuje się jego dzieckiem. Właściwie jechała „dwudziestką" do szpitala Wojskowego, żeby odwiedzić siostrę, która jest pielęgniarką. Pani Skonieczka nie wie, dlaczego się zgodziła, bo wózek cały był upstrzony, świeżymi, czerwonymi piętnami, a ona boi się widoku krwi. W karetce ktoś podał jej dziecko na kolana, jego ojciec też wsiadł, był półprzytomny z bólu, bardzo rozpaczał. Karetka zawiozła ich na Retkinię.

* * *

Inż. Wacaław Niewolański, przewodniczący specjalnej komisji MPK, która badała przyczyny wypadku mówi, że o podobnym zdarzeniu nie słyszeli najstarsi tramwajarze. jest po dwóch nieprzespanych nocach, robili próby symulacyjne na ulicy Żeromskiego, aby wyjaśnić mechanizm tej niezwykłej awarii. W momencie wypadku po sąsiednim torze jechała „piętnastka". Pęknięcie „poprzeczki" podtrzymującej trakcję nad ulicą spowodowało zerwanie pantografów na obu tramwajach." Poprzeczka w chwili zerwania była naciągnięta jak cięciwa łuku, stąd taki tragiczny skutek. Motorniczy „piętnastki" nie zauważył tragedii. Pobiegł do budynku przy Żeromskiego 88, żeby zadzwonić po pomoc techniczną. Po chwili podbiegł tam zszokowany Jerzy Wojeciechowski, usiłował wytłumaczyć koledze, co się stało, ale tamten w pierwszej chwili nie chciał mu uwierzyć.

Prokurator Jolanta Badziak mówi, że dochodzenie w tej sprawie potrwa jakieś dwa, trzy tygodnie. Zgłosił się w charakterze świadka jeden z pasażerów „dwudziestki", robotnik Ryszard Styszler. Ale naoczni obserwatorzy niewiele wniosą do sprawy.

– *Kiedy tramwaj się zatrzymał, zapanował strach i obłęd* – mówi pani prokurator. – *Panika była powszechna.*

* * *

We wtorek, dziewiętnastego czerwca, na cmentarzu przy Szczecińskiej odbył się pogrzeb Doroty Wędzik. Tego dnia mała Agnisia ukończyła równo dwa miesiące. Po śmierci matki przebywa w szpitalu Matki Polki. To dyrekcja Centrum Zdrowia zaofiarowała swoją pomoc, aby umożliwić rodzinie cenionej pielęgniarki przygotowania do smutnej ceremonii.

W szpitalu wojskowym przyszyto denatce głowę. Chirurg, który dokonał tej sztuki, sześciokrotnie zabierał się do zabiegu, ale „puszczały mu nerwy": znał z widzenia Dorotę. WAM zaofiarował także swój autobus, ale Gulczyńscy podziękowali – nie spodziewali się, że tak licznie zjedzie rodzina. Przyjechali krewni z Sopotu, Radziejowa, Włocławka, Lubiejcowa, Buczka, Bydgoszczy. Tylko zaprzyjaźniony Azer z Baku nie zdążył na uroczystość.

Na cmentarzu były tłumy ludzi. Dorota ubrana w białą suknię miała na umęczonej twarzy grymas półuśmiechu. Matka kazała otworzyć trumnę, aby na zawsze zapamiętać córkę, ale miała ją przed oczami wciąż żywą. Chociaż kaplica cmentarna jest przestronna, ludzie nie mogli się pomieścić. Kiedy ksiądz z Retkini przemawiał nad trumną, wszyscy płakali, bo mówił pięknie. Gdy odkryto wieko, ludzie powchodzili na ławki w kaplicy. Tego pani Władysława nie może im wybaczyć, nie przystoi tak wobec takiej tragedii. Miała prawo pożegnać się z córką.

Nie chciała chować Doroty w ziemi, kazała wymurować piwnicę. A przy okazji drugą, dla siebie. Były z tym kłopoty, bo na cmentarzu trudno o plac, ale biskup Ziółek okazał zrozumienie dla tragedii matki. Chce w przyszłości spocząć obok córki, czy to tak wiele?

Na pogrzeb zapożyczyli się trochę, murowanie grobu kosztowało ponad 11 milionów, ale ludzie przyszli im z pomocą. Pewnie, trzeba będzie zwrócić, cóż, miała jedną córkę i pieniądze się nie liczą.

Wie, że rany się goją, ale ta się nigdy nie zagoi, co najwyżej przyschnie. Żeby Dorota pożyła chociaż jeszcze z pięć lat, to łatwiej byłoby przeboleć jej śmierć, choć taka straszna. Dorota tak kochała Roberta. Synowa Grażyna mówiła nawet: *Przelizują się*. I wcale nie nacieszyła się mężem.

Od dnia pogrzebu pani Władysława codziennie jeździ na cmentarz. Stawia też płonącą lampkę przy budynku, gdzie Dorota poniosła śmierć. Na niedzielę zamówiła mszę w kaplicy Przenajświętszej Eucharystii. W poniedziałek znów pojedzie na cmentarz.

Są pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Pani Władysława Gulczyńska wie, że Bóg wcześnie przywołał jej córkę. Ale dlaczego?

Konrad Frejdlich

Aby przewieźć towary, kupił przedział osobowy do Moskwy

Hotel Polski w Pekinie

China town, chińskie dzielnice wtopione w krajobraz metropolii zachodniego świata, z zachowaną i akceptowaną przez wszystkich odrębnością obyczajową, być może powstaną kiedyś i w Polsce, również tutaj nie powodując konfliktów narodowościowych czy religijnych. Póki co, w roku 1978, z Chin przywiózł do kraju akupunkturę profesor Garnuszewski, zanim wydał monografię pt. „Renesans akupunktury", a już, od zupełnie niedawna, mnożą się w Warszawie prywatne chińskie restauracje, podnosząc na nowo reputację chińskiej kuchni po upadku ongiś znanego „Szanghaju". Za to w Pekinie – rodzi się specyficzne polish town, z wymieniającym się dwa razy w tygodniu składem jego mieszkańców, zgodnie z rytmem przylotów na trasie Warszawa – Pekin i przyjazdów pociągu na trasie Moskwa – Pekin.

Hotel Polski, tak nazywany przez Polaków hotel Jing Tai, położony daleko od pekińskiego lotniska, a trochę bliżej dworca głównego, na południe od Świątyni Nieba, u samego brzegu planu stolicy, kryje się w wąskiej uliczce, którą z trudem odnajduje taksówkarz. Sześć tygodni później, z nie mniejszym wysiłkiem dociera do nas znajomy z ambasady. Hotel ten zajmują głównie Polacy. Znajomy uważa, że jeden przyjazd przynosi niektórym zysk 7000 dolarów. W którymś z reportaży na ten temat czytałem, że miesiąc pobytu tamże, dał komuś dochód 20000 zielonych. A. z Ułan Bator śmieje się z tego: – *Wczoraj odprowadzałem kolegę, który zarobił 90 tysięcy.* – A. od pięciu lat mieszka w stolicy Mongolii, ale w ciągu ostatnich dwóch lat jest po raz piąty w Pekinie. Ma żonę Mongołkę. W Pekinie, uważa, dziewczyny są częściej uśmiechnięte, lubią pożartować, jedna zaczerwieniła się, gdy pocałował ją w policzek przy straganie pełnym klientów. Łaknie kontatku z rodakami. Do Pekinu jednak bliżej niż do Warszawy. Z nami szczególnie przyjemnie jest porozmawiać, bo wreszcie można – nie o interesach. Przed chwilą właśnie, kupił w pokoju naprzeciw miejscówkę do Moskwy, a miejscówki, co powszechnie wiadomo, normalnym trybem – nie do zdobycia. Po znajomości zapłacił 100 dolarów, zaoszczędził więc 80. Stuka się z nami kieliszkiem chińskiej wódki, którą przyniósł do naszego pokoju. Z trudem skrywa tęsknotę za krajem.

W holu hotelu wisi ogłoszenie w języku polskim: *„Odpłatne poradnictwo w sprawach handlowych w pokoju nr...* W kolejce do odprawy paszportowej, pytam stojącą przede mną kobietę, gdzie zamierza mieszkać. – *Jak to gdzie?* – odpowiada pytaniem. – *Tam gdzie zawsze, w Hotelu Polskim...* – Rzadko który przybysz z kraju w hotelu Jing Tai jest po raz pierwszy. A. twierdzi, że ruch tutaj zmniejszył się, odkąd Rosjanie wprowadzili płatność za komunikację w dolarach. – *Może to i lepiej* – mówi. – *Nieprofesjonaliści psuli nam opinię.*

Szybko dochodzi do przewartościowania szeregu pojęć i zmiany hierarchii wartości. Przesuwa się cienka granica pomiędzy pogardliwym pojęciem polskiego handlarza, a uznanym pojęciem polskiego biznesmena. Ten zaś, coraz częściej jest krzyżówką nowo powstającej klasy średniej i młodej inteligencji.

W holu hotelu pod sufit rośnie sterta wielkich paczek, podjeżdża furgonetka. Pytam w rodzimym języku:

– *Zakupił pan bilet towarowy?*

– *Nie ma takiego. Kupiłem cały przedział do Moskwy, a dalej to już jak w domu, droga prosta.*

Student piątego roku uniwersytetu lubelskiego zaprasza na papierosa. Zazdrości nam. – *Ja też bym tak chciał.* Powtarza: – *Pekin, Kanton, Makao, Hongkong, Manila, Szanghaj... Może kiedyś, jak uzbieram pieniądze.* – *My zbieraliśmy całe życie. On ma szansę na krótszy termin, ale nie zamieniłbym się z nim.* Patrzę z niepokojem na niebotyczną stertę kurtek skórzanych na łóżku. – *Najlepsze przebicie* – mówi.

Recepcjonistka spogląda ze zdziwieniem, kiedy prosimy o rezerwację mikrobusu do Muru Chińskiego. Jesteśmy jedynymi turystami w hotelu. Biznes przestał być hańbą dla każdej ze stron. Zdziwienie wywołaliśmy nawet w nowo otwartej w Warszawie ambasadzie filipińskiej, kiedy przeczytano, w rubryce – cel przyjazdu: turystyczny. – *Nie biznes?* – upewniają się.

Do Hotelu Polskiego docierają już pierwsi Rosjanie. Z Polakami handlowcami chętnie nawiązują kontakt, bo i trasa wspólna, i znajomość Pekinu najlepsza. Długa ulica, pełna straganów, biegnąca w kierunku placu Tien An Men, nazwana została przez polskich przyjezdnych Marszałkowską. Podobno istnieje już Rutkowskiego. Bazar bawełniany, bazar jedwabny, bazar dżinsów – te nazwy przyjęły się już dawno. W uliczce prostopadłej do hotelowej, tej która łączy się z Marszałkowską, na szybie chińskiej restauracji – napis: *„Tutaj najlepszy schabowy"*. Trochę dalej, w bistro – orzeł z koroną i jeszcze dalej, zachwalający chińską kuchnię dwuwiersz z podpisami *Baśka z Iwoną*. W holu hotelu pojawiają się nowe ogłoszenia: *„Sprzedam miejscówkę do Moskwy"*, *„Tanio zamienię miejscówkę z dnia...na wcześniejszą"*, *„Sprzedam tanio jedwabne koszule z długim rękawem"* – *Ten hotel* – mówi A. – *zaczął prosperować dzięki Polakom. tylko, że ostatnio, dla wielu stał się za tani.*

Być może i w polish town kryje się również jakiś margines społeczny, być może dochodzi do przekraczania norm prawnych. Sam zakup i transport paczek z pewnością jest całkowicie legalny. – *Na to, co nielegalne* mówi jeden z polskich konsulów – na razie miejscowe władze patrzą z cierpliwością chińską przez palce choć widzą wszystko. Chińczycy obecnie, absolutnie nie ograniczają wiz wjazdowych dla obywateli wszystkich państw, chociaż nie wiem jak jest z Tajwanem. Spotkałem natomiast wielu chińskich turystów z Makao, Hongkongu, Singapuru i nawet z USA. W Makao, w chińskiej Travel Agency, bez trudu, za niecałe 4 dolary, każdy może uzyskać wizę do CHRL na 3 miesiące (podczas gdy w Warszawie, w zwykłym trybie, ambasada chińska wydaje wizy 15-dniowe, które z kolei bez trudu można przedłużyć w pekińskim emigration).

Mur chiński

Na świeżo umytym placu Tien An Men, na który po staremu znad bramy Zakazanego Miasta, z wielkiego barwnego portretu, spogląda Mao, dzieci i dorośli puszczają wysoko, wyżej niż wznosi się Mur Chiński, kolorowe latawce. Dzieci – dobrze ubrane, zadbane, pogodne. Dorośli coraz rzadziej – w dawnych niebieskich garniturkach, częściej ubrani w dżinsy i modne koszule. Długa kolejka do mauzoleum, pod okiem uzbrojonych, przesuwa się szybciej niż pod Kremlem. Niezmienna pozostaje gęstwina rowerów na wydzielonych pasach między jezdnią a chodnikiem lub wśród nielicznych pieszych na wspólnym ni to chodniku, ni jezdni albo po prostu na jezdni, gdzie obowiązuje jedyna zasada ruchu, jak na stoku narciarskim patrzeć przed siebie, niech ten z tyłu uważa: I rzeczywiście uważa, potok rowerów płynie w spokojnym rytmie, nikt nie stuka się w czoło. Ludzie, jak widać, jeszcze nie tak ubrani jak w Makao i Hongkongu, kobiety nie stosują makijażu, dzieci czasami stroi się w czapki wojskowe z wielkim okrągłym rondem, ale od roku coraz więcej spotkać można cudzoziemców. Za 8 lat, ChRL na mocy umowy, wchłonie obecne portugalskie Makao oraz obecnie brytyjski Hongkong. Granice pękają w oczach. W Makao zatrudnieni są robotnicy, którzy po pracy wracają na noc do domu za chińską granicę. Tania siła robocza. Ale zanim dojechaliśmy do chińskiego granicznego miasta Duhaj, na rogatkach wojskowych wielokrotnie sprawdzane są dokumenty obywateli chińskich. Na razie Makao zdominowane jest wpływem innego sąsiada – Hongkongu. Jego mieszkańcy chętnie przyjeżdżają tu na weekendy, do domów gry, a i w obiegu, na równych prawach z miejscowym dolarem trzyma się dolar Hongkongu .

Co stanie się w przyszłości z Night Club w Makao? Gdy wjeżdżam windą na 8 piętro, trzy urodziwe dziewczyny odwracają się tyłem do mnie, Co u licha? – Jest godzina 22. Klub rozpoczyna działalność. W korytarzu na 8 piętrze, w gablotach – 140 żarówek przy ponumerowanych barwnych zdjęciach kobiet. Niektóre żarówki – wygaszone. – Wolny dzień, a raczej noc czy odwrotnie? Obok kasa oraz cennik: Za 10 minutową rozmowę z miejscową gejszą, wręczyć jej trzeba jeden bilet, po 20 minutach – 2 bilety. Taniec – 3 bilety. Cena biletu – 8,5 dolara. Towarzystwo na całą noc – 40 biletów, to znaczy 340 dolarów, oczywiście za noc w klubie, bo poza nim – sprawa prywatna. Portugalia jest krajem purytańskim, w miejscu publicznym kobieta nie bierze pieniędzy. Dlaczego w windzie turysta miałby bez biletu patrzeć w oczy pięknej dziewczyny.

Wracamy do najtańszego hotelu, w którym cienkie ściany nie dochodzą do sufitu. Dochodzą natomiast ostatnie miłosne pojękiwania niewidocznej kobiety. Otwieramy przewodnik pt. „Hongkong, Macau Canton a travel survival kit", taki dokładny, że nawet o gospodarzu naszego hotelu jest wzmianka, iż bywa niezbyt uprzejmy. Chcemy sprawdzić co czeka nas w Hongkongu, w wypdku gdyby ciekawość turystyczna poniosła nas w miasto po godzinie 22. Czytamy, że nie ma zabawy bez 1000 dolarów, a drugie tyle konieczne – gdyby zabawa miała się przenieść poza mury lokalu.

Tuż przed odlotem z Warszawy, po sukcesach Wałęsy w USA, w odniesieniu do amerykańskich przepisów wizowych, Bbrytyjczycy obniżyli próg dostępności wizy do Hongkongu. Posiadłość ta do niedawna ogólnie była Zakazanym Miastem dla Polaków. Potem dostępna – jedynie dla biznesmenów. Po udowodnieniu wiarygodności odpowiednich dokumentów, potem, przez krótki czas – za 27 milionów złotych za tydzień: via Lot Tour – dla chętnych na spotkanie z biznesmenami Hongkongu i wreszcie – możliwość przyjazdu turystycznego, również na tydzień, pod warunkiem potwierdzonej teleksem rezerwacji hotelu. Jesteśmy pierwszymi turystami polskimi, którzy wysiedli z promu w Hongkongu, w drodze z Makao.

Pewnie z tego powodu, straż graniczna grzecznie odprowadziła nas na bok. Długo trwało sprawdzanie. Kiedy oddano nam paszporty, jeszcze tylko pytanie: – *Czy na pewno wyjedziemy za 7 dni?*

Tydzień jest wystarczająco długi, by zwiedzić przy pomocy naszego przewodnika to bajecznie położone państwo, wśród zielonych gór, niebieskich zatok i wysp z białymi drapaczami chmur Kowlonu, Hongkongu Wyspy i New Teritories, z urokliwymi plażami, świątyniami i klasztorami taoistycznymi i buddyjskimi, i wszędzie – bez opłaty za wstęp (!), by chodzić ile tylko się da ulicami bogatych wystaw, ulicami wewnątrz ogromnych pawilonów i estakad, ulicami wąskimi, gdzie z trudem dostrzec można niebo, ulicami po których jadą różnokolorowe, piętrowe autobusy, piętrowe trolejbusy, piętrowe tramwaje, a pod ziemią i pod zatoką – pociągi w metrze, jednym z najnowocześniejszych na świecie.

W lewostronnym ruchu ulicznym, znacznie większym aniżeli w Makao, wśród ulic jednokierunkowych, z trudem odnajdujemy przystanek autobusowy w kierunku Mount Davis. Idziemy wreszcie z 25-kilogramowym bagażem, plecakiem i torbą, „golgotą" po niezliczonych schodach przecinających gąszcz palm i bananowców na szczyt. Tuż za nami przyjeżdża taksówką sześćdziesięcioletni Amerykanin. Youth Hosztel otworzy bramę o 16, tj. za godzinę, Amerykanin wyciąga rękę, przedstawia się – Bill. Często śmieje się, jak inni Amerykanie. Przewodnik „...a travel survival kit", z którym nie rozstają się turyści amerykańscy, japońscy, zachodnioeuropejscy, izraelscy, australijscy – w naszych rękach wygląda egzotycznie.

W recepcji Youth Hostel słyszymy, że Polacy jeszcze tu nie mieszkali. Zdobyliśmy Mount Davis. W 1999 roku należeć będzie do Chin. Doznaję podobnego uczucia jak 2 lata temu we wschodnim Berlinie, w którym byłem przejazdem ze Skandynawii, gdy poświęciłem 8 godzin na pokonanie przeszkód formalnych, aby wjechać na pół godziny poza mur berliński. Dziś jazda w tamtą stronę nie był aby atrakcją. I jednocześnie zdaję sobie sprawę z niecodzienności spotkań z polskimi biznesmenami i turystami z innego świata, pięć przed dwunastą, przed pęknięciem ostatnich murów.

20 maja 1991

Ludwik Gębel

Bydlęcy szlak

Relacja uczestnika wycieczki autokarowej

Z taką wycieczką zabrałem się pierwszy raz, nieświadom jej prawdziwego charakteru. Ponieważ wyszedłem cało, nigdy więcej nie dam się na coś takiego namówić, nie ma głupich. I innych przestrzegam, chyba, że ktoś lubi horrory.

Autobus wyjeżdża wieczorem z Dworca Północnego, rano jest na miejscu i wraca następnej nocy. W Berlinie byliśmy więc jeden dzień. Grupa składała się głównie z ludzi młodych, oprócz nich dwie starsze panie i ja z kolegą – w średnim wieku. Na początku jest nawet elegancko: „witam", „proszę", „dziękuję", podawanie dłoni, uśmiechy, twarze nawet nielumpiarskie, tylko tu i ówdzie tatuaż. Młodzi zajmują tylną część autokaru.

Kultura kończy się gdzieś koło Poddębic. Gówniarze upijają się w ekspresowym tempie i co pół godziny zmuszają kierowcę do zatrzymywania się, by móc opróżnić rozdęte pęcherze. Po którymś razie kierowca odmawia. Wówczas jeden taki o stępionym wódą obliczu, wyciąga ze spodni wszystko to, co ma i zaczyna odlewać się na podłogę, tuż obok foteli starszych pań. Tak wymusza na kierowcy kolejny postój. Gdyby w tym autobusie zainstalować wychodek, byłaby to stuprocentowa knajpa na kółkach.

Po różnych ekscesach młode bydełko zasypia. Przez granicę przejeżdżamy prawie bez kontroli. Niemcy nawet nie sprawdzają paszportów, traktują nas jak Europejczyków. Dobrze, że nie weszli do środka...

Autobus parkuje wcześnie rano w małej uliczce, przeznaczonej – jak się okazało – dla Polaków. W ciągu dnia dojeżdża jeszcze ze 30 podobnych wycieczek z całej Polski. Uliczka ta – nie pamiętam nazwy – leży blisko kolumny z aniołem zwycięstwa, widać stąd berlińskie zoo. Gospodarze ustawili tam mnóstwo koszy na śmieci, ruchome toalety w specjalnych estetycznych kontenerach, jest czysto, świeżo, aż pachnie. Skacowana trzódka wyłazi z autokarów: „zawartość" innych wozów nie różni się specjalnie od naszej, wszystko to są jeżdżące knajpy. Wielu „turystów" zna się z sobą, bo tu przyjeżdżają po towar, który potem widzimy na ulicznych straganach w miastach i miasteczkach naszej dumnej krainy.

Z pobliskiej stacji metra wysypują się pracowici Niemcy, by na czas zdążyć do pracy. Kilku naszych sprzedaje im z ręki „Marlboro" po konkurencyjnej cenie. Pozostali rozłażą się po okolicy. Kierowca zapowiada, że zamyka autokar i otworzy dopiero w południe, na „pierwsze ładowanie".

W oznaczonym czasie zjeżdżają wózki sklepowe, pełne różności, z pobliskiego taniego domu handlowego „Aldi". Napełniają się specjalne pojemniki na bagaże telewizorami, magnetowidami, sokami, piwem, margaryną, kasetami video, gumą do żucia i czym tylko się da w niewyobrażalnych ilościach. Drugie „ładowanie", popołudniowe, wypełnia wnętrze autokaru. Ledwie starcza miejsca dla ludzi. Wózki sklepowe kopniakami usuwa się z drogi, niektóre spadają z nasypu uliczki w rosnące poniżej krzaki. Kierowca ogromnej ciężarówki z przyczepą kręci głową z podziwem i stwierdza, że takie ilości towaru pewnie nie zmieściłyby się w jego pojeździe. Polak wciąż potrafi. Nawet stateczne babcie są niższe od sterty swoich zakupów.

Młodzi wciąż chlają i są coraz bardziej agresywni. Nie mając przeciwnika, bo Niemcy z daleka omijają tę uliczkę, zaczynają szarpać się między sobą. Nagle, w uliczkę wjeżdża grupa młodych berlińczyków na ciężkich motorach. Polska dzicz wypada z kilkunastu autokarów i z wyciem rzuca się w ich stronę. Jest wreszcie kogo pobić! Motorowcy uciekają przerażeni z rykiem silników.

Wreszcie odjeżdżamy. Uliczka przypomina kloakę. Śmieci po kostki, a kosze puste. Kible, rano pachnące, cuchną na dziesięć metrów, ohyda! A my później nie możemy zrozumieć, dlaczego Polacy bici są w Niemczech. Między innymi dlatego!

Na granicy kłopoty. Celnicy przeglądają bagaże i żądają cła, albo każą zwracać. Kierowcy mediują z nimi na zewnątrz. Wracają i przekazują ultimatum: trzeba dać 3 miliony. My, z kolegą, nie chcemy dawać, bo nic nie przewozimy. Reszta zrzuca się na haracz. Kierowcy komisyjnie niosą pieniądze polskim celnikom. Towarzyszy im szczególnie aktywny w zbiórce forsy koleś. Wszystko to wygląda podejrzanie. Na mój rozum, kierowcy, którzy jeżdżą tędy często, dzielą się ze znajomymi celnikami okupem. Ich schowki nie są kontrolowane. Wszystkim się takie załatwienie sprawy opłaca.

Do Łodzi dojeżdżamy bez przeszkód, choć młodzi piją. Odgrażają się, że na miejscu się z nami policzą. Za brak solidarności narodowej, skąpstwo i niezbyt rozwiniętą świadomość społeczną. Na szczęście schlani jak zarżnięte wieprze spali głęboko, gdy autobus kończył bieg na Dworcu Północnym. Tam czekały już na nich ciężarówki ze wspólnikami. Deszcz lał z gwałtownością Niagary. Przynajmniej zmokną, sukinsyny – pomyślałem mściwie.

Wyschną jednak i za trzy dni znów pojadą w swoją „turystyczną" trasę.

Relację spisał

Marek Koprowski

Co się stanie z festiwalem?

Prawdziwe filmy powstają na Wschodzie

Rozmowa z dyrektorem programowym 28 Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie – **Andrzejem Kołodyńskim**

– Jest pan od trzech lat dyrektorem programowym festiwalu. Co zmienił pan w dotychczasowym modelu festiwalu?

– Moim pierwszym pomysłem było połączenie festiwalu polskiego z międzynarodowym w jedną imprezę. Uważam, że jest to dobry pomysł, że nie należy tworzyć polskiego getta. Jeśli chcemy być konkurencyjni, powinniśmy mierzyć się z konkurencją międzynarodową. Z drugiej strony, jest możliwość pokazania na festiwalu filmów, które nie mieszczą się w konkurencji, ale warte są – z jakichś powodów – pokazania. Dlatego pomysłem kolejnym było obudowanie festiwalu możliwie wieloma imprezami towarzyszącymi. Był to pomysł kontrowersyjny, ponieważ przedtem publiczność przyzwyczajona była do pewnego porządku. Na wszystko można było zdążyć. Teraz przyjęliśmy model festiwali zachodnich, gdzie pośród mnóstwa imprez każdy sobie idzie własną ścieżką i wybiera to, co go interesuje. I to zachowaliśmy po dziś dzień, mimo że ten „mój" trzeci festiwal ze względu na kłopoty finansowe jest skromniejszy. Ograniczyliśmy go do jednego kina i tylko imprezy dodatkowe odbywały się w zaprzyjaźnionym Klubie Studenckim „Rotunda".

– Ile było polskich filmów w programie?

– Mimo założenia, że festiwal jest międzynarodowy, zdaję sobie sprawę, że jest to właściwie jedyna okazja do pokazania szerszej publiczności produkcji polskiej. Wobec tego proporcje są takie, że filmów polskich była połowa z 82 w konkursie. Oczywiście, więcej ich było poza konkursem, gdyż pokazaliśmy np. całą produkcję wideo. Natomiast jeśli chodzi o produkcję zagraniczną, musimy sobie zdawać sprawę z pewnego zjawiska, które obserwuję od trzech lat: jest taki pogląd, że tam, gdzie się coś dzieje, gdzie są rewolucje, wojny, zmiany społeczne, tam powstają dobre dokumenty. Tam, gdzie się nie dzieje nic, dokumentu w ogóle nie ma. I to się potwierdza. Najciekawsze filmy przychodzą do nas z ZSRR i Europy Środkowej. Jest parę ciekawych polskich filmów, bo my też jesteśmy kotłem, w którym coś się zmienia nieustannie. Natomiast produkcja zachodnia, w gruncie rzeczy, ma charakter taki nieco rozrywkowy. Zrobiliśmy np. pokaz filmów francuskich. Były to zgrabne, bardzo eleganckie opowiastki fabularne, ale nic poza tym. Oczywiście, robi się tam również prawdziwe dokumenty na zamówienie telewizji, ale to już są długie filmy i one nie mieściłyby się w dotychczasowej formule naszego festiwalu.

– Ale te filmy francuskie były zrobione pod względem profesjonalnym dużo lepiej niż realizowane na gorąco, w pośpiechu, dokumenty. Były wysmakowane estetycznie, interesująco zmontowane – zatem i jedne, i drugie warte są obejrzenia.

– Zgadzam się, dlatego właśnie zaprosiliśmy Francuzów do konkursu, a np. Kanadyjczyków na pokaz specjalny, żeby porównać poziomy w sensie czysto profesjonalnym.

– Od kiedy istnieje ograniczenie, że pokazywane są filmy europejskie, a nie światowe?

– Festiwal ma charakter międzynarodowy, natomiast pierwszy raz w tym roku, ze względu na sympozjum KBWE na temat dziedzictwa kultury pomyśleliśmy, że powinniśmy się w jakiś sposób dołączyć do tematu tego sympozjum. Dotychczas hasło festiwalu brzmiało „Nasz wiek XX", a więc hasło bardzo pojemne. W tym roku wymyśliliśmy hasło może mniej oryginalne, ale za to bardziej odpowiadające naszym czasom: „Europa, nasz wspólny dom" – i dlatego pokazujemy filmy europejskie. Chodziło o stworzenie panoramy problemów, z którymi na co dzień boryka się Europa, problemów życia codziennego, obyczajowych. Na przykład: zaskoczeniem dla nas był bardzo mocny film o homoseksualizmie w Czecho-Słowacji. Czasami są to problemy bardzo drobne, ale poznawanie ich, poznawanie różnic w mentalności, w obyczajowości jest konieczne dla Europy, dla naszego wspólnego – w przyszłości – życia.

– W jaki sposób odbywa się selekcja filmów?

– Filmy polskie nie są, w zasadzie, selekcjonowane. Dajemy limit czasu wytwórniom i producentom, w zależności od ich wielkości. Natomiast jeżeli twórcy uważają, że są pokrzywdzeni przez własną wytwórnię, mogą się zgłaszać indywidualnie do komisji selekcyjnej, którą powołaliśmy w Warszawie. Od decyzji tej komisji nie ma już odwołania. Kiedyś odwoływano się do szefa kinematografii i sprawy toczyły się miesiącami. Teraz nie ma już odwołania. Minister nie chce się w te rzeczy bawić – i słusznie. My jesteśmy całkowicie odpowiedzialni za to, co robimy. Filmy zagraniczne natomiast przyjmujemy na innych festiwalach, np, w Tampere, Clermond-Ferrand, Oberhausen i innych. Festiwal w Oberhausen od dwóch lat dodatkowo zaprasza naszego przedstawiciela na pokazy selekcyjne przed imprezą, jest więc możliwość zobaczenia całej produkcji niemieckiej.

– Czy w związku z tym, że filmy zagraniczne przechodzą już jakąś selekcję, a polskie nie, pan jako dyrektor programowy nie czuje, że filmy polskie nie są odpowiednio wybrane?

– To jest ryzyko i przyznam się pani, że odczuwalnym błędem tego festiwalu był fakt, iż liberalnie potraktowaliśmy produkcję polską. Może należało bardziej ingerować, może zmniejszyć limit czasowy? Przymknęliśmy oczy, bo w przyszłym roku takich filmów będzie znacznie mniej, jeżeli w ogóle będzie festiwal...

– Jak pan ocenia szanse festiwalu?

– To jest ostatni festiwal o takiej formule. Jeżeli będzie istniał, a powinien istnieć, bo jest wydarzeniem kulturalnym o dużej randze, to trzeba się będzie nastawić na długometrażowe filmy dokumentalne. Pokazać ich mniej, określić jakiś temat i obudować tę imprezę np. konkursem filmów reklamowych, pokazem videoclipów, czymś, co by miało charakter bardziej komercyjny, a też wymaga profesjonalnego opanowania. Jest to na razie bardzo luźny pomysł, ale jestem przekonany, że dotychczasowej formuły już nie jesteśmy w stanie powtórzyć.

Rozmawiała:
Mariola Kudelska

Jury XXVIII Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych – Kraków 1991 – przyznało następujące nagrody:

– **GRAND PRIX** – „Złotego Smoka" filmowi **„Wygaśnięcie umowy"** (Ukraina) reż. Murat Mamiedow.

– Dwa „Srebrne Smoki": filmowi **„Usłyszcie mój krzyk"** (Polska) reż. Maciej J. Drygas oraz filmowi **„Skrzyżowanie"** (Niemcy) reż. Raimund Krumme.

– Trzy „Brązowe Smoki" filmom: **„Pożegnanie z ojcem"** (Ukraina) reż. Aleksander Rodnianski; **„Obóz"** (Polska) reż. Marek Nowakowski i Jacek Kubiak; **„Szurale"** (Estonia) reż. Renita i Hannes Lintrop.

Narodziny kina w Łodzi (2)

Iluzjon Juliana Tuwima

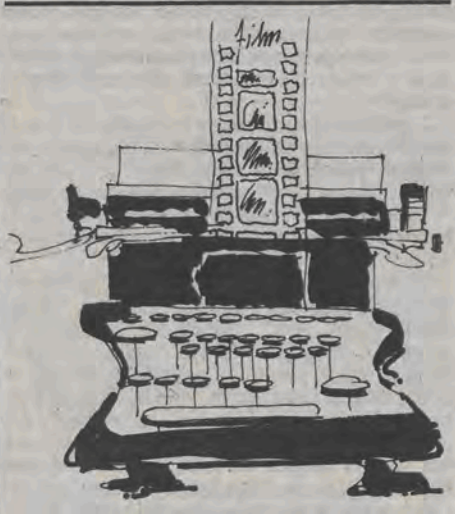

W podwórzu posesji przy ul. Piotrkowskiej 17 już od bardzo dawna, jak sięgnąć pamięcią znajdowała się budowla przypominająca stodołę nakrytą brezentowym dachem. W 1892 r. wynajął ją **Władysław Krzemiński**. Przedsiębiorca ten na stałe wpisał się do historii kinematografii polskiej a szczególnie łódzkiej, choć początkowo nic nie zapowiadało jego kariery w tej właśnie dziedzinie. Jako bardzo młody chłopak rozpoczął pracę w znanym panopticum (rodzaj muzeum osobliwości) Bozwy w Warszawie, a że był człowiekiem wygadanym i rezolutnym, właściciel przeznaczył mu pracę w dziale anatomicznym w charakterze objaśniacza. Praca ta podobała się Krzemińskiemu, a poza tym przynosiła mu niezły dochód, na tyle duży, że w parę lat potrafił uciułać niezłą sumkę i stanąć na własnych nogach. Stało się to właśnie w 1892 r., W. Krzemiński otworzył przedsiębiorstwo podobne w charakterze do tego, w którym dotychczas pracował. Na siedzibę obrał Łódź i lokal przy ul. Piotrkowskiej. *„Gabinet Iluzji"* wyróżniał się aktywną działalnością i różnorodnością programów świadczącą o pomysłowości właściciela. Oprócz pokazywania szeregu osobliwości (np. karły, olbrzymy, kobieta z brodą itp.) w Gabinecie Iluzji odbywały się przedstawienia składające się z efektów świetlnych oraz przeźroczy z dziedziny astronomii, krajoznawstwa itp. Rozpoczynały się one o godz. 11, trwały do godz. 23, czas pokazywania przeźroczy i iluzji wynosił ok. 40 min.

7.11.1896 r. (w 3 miesiące po premierze w Helenowie) demonstrowany był *„aktualnie ostatni genialny wynalazek Edisona, kinematograf, aparat do pokazywania żywych fotografii"*. Przedstawienia te utrzymywały się do końca roku. Następnie Krzemiński wraz z bratem powrócili do dawnej formuły. Nie zapomnieli jednak o kinie, wietrząc w tym nowym odkryciu niezły interes. Gdy w 1899 r. uruchomili pierwsze w Łodzi kino (pierwsze również na ziemiach polskich) ich rachuby okazały się słuszne. Kinematograf działający przy Nowym Rynku (plac Wolności) przyniósł właścicielowi niezły dochód.

W 1900 r. w listopadzie Krzemińscy ponownie wynajęli lokal przy ul. Piotrkowskiej 17 i urządzili w nim kino o nazwie *Biograf*. Sala mieściła około 100 osób, a seanse przez cały sezon zimowy przechodziły przy pełnych kompletach widzów.

W roku następnym Krzemińscy opuszczają Biograf na zawsze, w 1903 r. również Łódź i przenoszą się do Warszawy, gdzie przy ul. Marszałkowskiej otwierają kino.

Do starego Gabinetu Iluzji wkracza nowy właściciel. Jest nim **Teodor Jounod**, posiadacz lokali rozrywkowych w stolicy. W listopadzie 1906 r. po dobudowaniu mikroskopijnej scenki i garderoby uruchamia **Teatr Iluzji Urania**. Pan Juonod potrafił zafascynować widownię. Jeśli chodzi o Łódź to zdobył ją filmem **Meliesa „Podróż na księżyc"**. Na Piotrkowskiej 17 ustawiały się długie kolejki ciekawskich, kino trzeszczało w szwach, zaś jego szef rozglądał się za bardziej efektowną oprawą dla swego rozrywkowego przedsiębiorstwa. Wkrótce przenosi się ze swym kino-teatrem do budynku przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Cegielnianej (Jaracza). Zabiera również ze sobą nazwę kina. „Urania" miała już 250 miejsc (wraz z galerią) pozostała wszakże wierna dawnemu profilowi – filmy były wciąż tylko dodatkiem do artystycznej produkcji aktorów. Po I wojnie światowej w lokalu Uranii (dziś stoi tam „Magda") przez pewien czas prosperowało kino **„Czary"**.

Stare kino przy ul. Piotrkowskiej 17 przejął z kolei **Lucjan Aniołkiewicz**. W 1907 r. otworzył tu swoje podwoje **Teatr Illusion** łączący również z powodzeniem występy kabaretowe i iluzjonistyczne z seansami filmowymi. Na fortepianie grał syn właściciela – wówczas jeszcze mały chłopiec, niepozorny i skromny. Nikt z zapatrzonych w ekran widzów nie przypuszczał nawet, że słucha przyszłego kompozytora.

Opis właśnie tego kina przetrwał na stronicach prozy **Juliana Tuwima: „Drewniane ławki w ponurej izbie bez podłogi – (po prostu na gliniastej ziemi ustawione) pomarszczone prześcieradło na ścianie – i oto na płótno wjeżdża szary, wibrujący w deszczu migań parowóz. Ach, mała rączko w białej, skórkowej rękawiczce drżąca w mej dłoni jak serce i ekran!... Po seansie filmowym pojawiał się na estradzie kuplecista i śpiewał: Przyjechałem tu do Łodzi**
By na harfie grać
I zarobić trochę grosza
I Maryśce dać.
Wreszcie zjawiała się biodrzasta dama w trykotach, rozkładała skrzydła ramion i trzepocząc nimi w ciemności stawała się żywym kalejdoskopem krążących fantastycznie kolorowych świateł".

Tego typu przedstawienie przeszło do historii kina pod nazwą **„Mia Mara"** i powtarzało się we wszystkich prawie iluzjonach początku XX wieku.

Ale wspomnienia, jak wiadomo, na ogół zaprawione są nutką rzewności, sprawy odległe widzi się w pejzażu jasnych barw i złudzeń. Rzeczywistość dla Illusionu nie była najłaskawsza. W 1911 r. władze policyjne zamykają kinematograf ze względu na brak właściwych urządzeń p. poż. Lucjan Aniołkiewicz załamuje ręce – co zrobi z żoną i sześciorgiem dzieci? Z czego wyżywić rodzinę, gdy kino było jedynym środkiem utrzymania? Po chwilowej rozpaczy, właściciel Illusionu postanawia działać. Jedzie do Piotrkowa, do gubernatora ze wszystkimi dokumentami swojego kina, które udało mu się uzyskać od pracownika Magistratu. Cudem dostaje się na prywatną audiencję do gubernatora i szczęśliwy składa na jego ręce wszystkie pisma wraz z prośbą o szybkie i pozytywne załatwienie sprawy. Gdyby przypuszczał, jaki wywoła skandal, nigdy by nie ważył się na ten krok. Gubernator, po pierwszym zaskoczeniu wpada we wściekłość – oto stoi przed nim ktoś, kto stanowi namacalny dowód nieprzestrzegania prawa przez urzędników państwowych! Dokumenty, które powinny trafić do kancelarii piotrkowskiej drogą urzędową dochodzą do niego przez prywatne ręce! Kto ważył się naruszyć ustalone prawa i kto ma za to odpowiedzieć? Tym kimś był urzędnik Magistratu **Leontin Repnik**. To on wydał Aniołkiewiczowi dokumenty, wszak ten powołał się na uzyskaną zgodę prezydenta! Nie pomogły żadne tłumaczenia. Repnik ukarany został dyscyplinarnie 3-tygodniowymi dyżurami w Magistracie, a Aniołkiewicz musiał odczekać do sierpnia 1912 r. na pozytywne załatwienie swojej prośby. Gdy wreszcie ponownie otworzył **„Teatr Variete Illusion"** *wg wymagań sanitarnych i bezpieczeństwa publicznego"* jego kino zaczęło oscylować w kierunku kabaretu, a seanse filmowe stały się jedynie dodatkiem do całości programu.

Lata I wojny światowej zahamowały rozwój wielu kin. Illusion trzymał się dzielnie. Chwytał się jednak różnych sposobów, by móc dalej egzystować. W 1915 r. przekształca się w teatrzyk Rozmaitości, w którym występy kabaretowe czy nawet wodewilowe uzupełniano *„bogatym działem kinematograficznym"*. W 1918 r. razem z „Teatrem Variete Illusion" zaczyna działać **Cafe Imperial**.

Po odzyskaniu niepodległości nowi właściciele – państwo *Kreczkowie* otwierają tu kino pod nazwą *„Belle' vue"*. Ta egzotycznie brzmiąca nazwa, którą sztubacy w szkole przekręcali na „Belewułe" nie pasowała do coraz bardziej podupadającego kinematografu.

Ale „Belle' vue", mimo że zaliczało się do II, a potem do III kategorii przetrwało cały okres niemy. Potrafiło przez lata kryzysu utrzymać stałą publiczność głównie chyba dzięki niskim cenom i dobremu położeniu w centrum Łodzi. Na fortepianie w tym czasie przygrywał **Ludwik Starski** – znany później jako scenarzysta min. **„Zakazanych piosenek"** i **„Skarbu"**. Jest on ostatnim z ciekawszych postaci współtworzących historię tego iluzjonu.

Rok 1930 zamyka 38-letnią działalność lokalu, który dużo przeżył i wiele wzruszeń dostarczył bywalcom. Jeszcze tylko spadkobiercy zmieniają nazwę na bardziej swojską **„Polonia"** i już mrok zapomnienia zaczyna zapadać nad Piotrkowską 17. Po II wojnie budyneczek rozbłyśnie jeszcze ogniem pożaru – i koniec.

Zostało tylko wspomnienie.

Hanna Krajewska

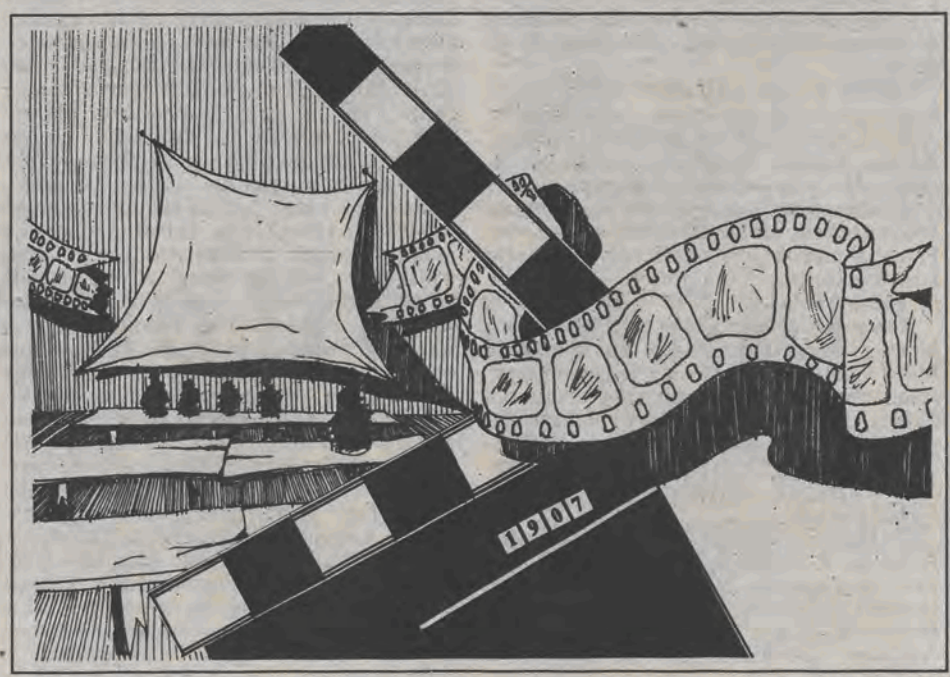

Rys. B. A. Szust

Stasys multiinstrumentalista

Jest Litwinem, od 12 lat na stałe mieszka w Warszawie, a jego oryginalna twórczość jest znana i nagradzana od Japonii po Stany Zjednoczone. Uprawia grafikę, malarstwo, rysunek, od kilku lat specjalizuje się w plakacie.

W szkole był samotnikiem, obserwatorem klasy, często zapominającym, co dookoła niego się działo. Tak jest i teraz. Żyje w swoim

nadrealnym świecie zrodzonym z poetyki snu, swobodnych skojarzeń, świecie nieskrępowanej wyobraźni i wrażliwości. Motywami twórczości Stażysa są rzeczy proste, szczególnie interesuje go ludzka twarz – jego postacie mają wielkie, smutnie zdziwione, dziecinne oczy, nierzadko błyszczy w nich łza, kiedy indziej głębokie oczodoły zieją beznadziejną pustką. Ludzie z jego wizji wykonują codzienne czynności, przyobleczeni są w dziwaczne stroje, trzymają maski, skrzynki, klatki, opasujące ich wstążki, sznurki, otaczają ich fantastyczne ptaki, samotne drzewa, kruche rośliny i płaskie wielkie przestrzenie. W obrazowaniu świata artysta nieoczekiwanie zestawia przedmioty do siebie nie pasujące, wyeksploatowane symbole nasyca nową, świeżą, magiczną treścią, nadaje im nostalgiczny klimat, czasem zabarwia okrucieństwem z domieszką czarnego humoru.

Jego prace – bardzo osobiste, intymne, mówiące o niepokojach i troskach artysty, mają wymiar uniwersalny. Groteskowe, kalekie ludzkie kadłuby przystają na swój ułomny los, budząc jednocześnie współczucie i śmiech. Postacie wrastają w otoczenie, bowiem świat zewnętrzny jest światem wewnętrznym bohaterów kompozycji Stasysa. Kruche, ulotne, delikatne je tchną melancholią, radością, grozą, dojrzałą mądrością i zrozumieniem.

Stasys zawsze robi to, na co ma ochotę. Z prawdziwej chęci twórczej. Jest multiinstrumentalistą , wewnętrzny impuls podsuwa mu kolejne materie, które go inspirują. Zaczynał od exlibrisów, miniatur graficznych i malarskich. Później zainteresował się ilustracją, szczególnie dla dzieci. Jego ilustracje nie podążają za tekstem, są niezależną historią opowiadaną równolegle. Autor stara się przeistoczyć w jedno z dzieci, przejąć jego wrażliwość, sposób reagowania, jedyną „dorosłą" cząstką w nim jest ręka przenosząca odczucia na papier. Stara się stwarzać niezwykłe sytuacje, dlatego fantazja jest najważniejszym elementem jego pracy.

Największą popularność przyniosły Stasysowi plakaty – świeże, liryczne, mówiące własnym oryginalnym językiem plastycznym. Artysta pozostaje wciąż w swoim autonomicznym świecie wyobraźni, czyniąc zaledwie delikatne, dalekie aluzje do treści filmu, przedstawienia – plakaty bowiem wciąż zaludniają charakterystyczne postacie o szklistych oczach uwikłane w swój los. **W Muzeum Historii Miasta Łodzi jest obecnie czynna wystawa jego fascynujących plakatów.**

O swoich kontaktach z Łodzią artysta wypowiada się bardzo ciepło, tu miał swoją pierwszą indywidualną wystawę zagraniczną, tu zawsze spotykał się z wyjątkową serdecznością, tu pokazywał wszystkie swoje nowości. W twórczej biografii Stasysa grafika należy już do przeszłości, podobnie jak ilustracje i plakat, jego uwaga koncentruje się teraz na drewnie w połączeniu z malarstwem. Być może już wkrótce (po galerii na Zapiecku w Warszawie) nowe obiekty obejrzymy i u nas.

Monika Matuszak

Cymes dla dzieci

My, ludzie dorośli, mniej lub bardziej mądrzy, zapomnieliśmy już dawno o tym, że kiedyś byliśmy dziećmi. Zapomnieliśmy, z jakim trudem i mozołem meblowaliśmy nasze oporne mózgownice wiadomościami o tajemniczym świecie, niepojętym otoczeniu i niezrozumiałym życiu, jak skomplikowane wydawały się rzeczy proste, z jakim wysiłkiem przyswajaliśmy ogromną wiedzę, która największe zagadki bytu przemieniała – z biegiem lat – w banalną rzeczywistość.

I dziś nie wszystkim starcza wyobraźni, by zrozumieć, jak trudno naszym dzieciom pojąć świat, jeszcze bardziej poplątany niż kiedyś, jak ciężką pracę wykonać musi mały mózg małego człowieka, by zapisać „białą kartę" swego „komputera" tysiącami pojęć i informacji.

Na szczęście znaleźli się dorośli, którzy pomyśleli, jak pomóc najmłodszym w ułożeniu skomplikowanej mozaiki logicznych „puzzli" w całość, zwaną tyle umownie, co tajemniczo: WIEDZĄ.

Właśnie pojawiły się w księgarniach pierwsze dwa tomy **„Encyklopedii świat dziecka"**, zakrojonej na dziesięcioksiąg, obejmujący wiadomości o: ziemi, środowisku, życiu, odkryciach, wynalazkach, podróżach, zawodach, postępie, wyprawach i dziejach opracowane z należytą powagą na poziomie małego czytelnika w wieku 6-9 lat.

Księga I: **„O ziemi"**, bajecznie (jak i reszta) ilustrowana przez **Tony Wolfa**, podzielona jest na działy: o skałach, o powietrzu i wodzie, o morzach; księga II **„O środowisku"**, opowiada o środowisku tuż obok nas, naszej okolicy i środowisku dalekich krain. Tekst napisany przez **Giuseppe Zanini**, przetłumaczyła wybornie **Mirosława Stańczyk**, bo całość jest przedrukiem z wydania włoskiego. Polska edycja prezentuje najwyższy poziom wydawniczy: twarde, kolorowe, lakierowane okładki, kredowy papier wewnątrz i piękne, nasycone barwą ilustracje. Aż się oczy śmieją. Polskim wydawcą całości jest łódzka oficyna **„Res Polona"**, która zaznaczyła już swoją obecność na rynku książkowym choćby znakomitą **„Ilustrowaną Encyklopedią dla Dzieci"**. Zdobywanie wiedzy z takich ksiąg, to – przypuszczam – czysta rozkosz. Mądrość sama wchodzi do głowy.

Encyklopedia świat dziecka. Księga I: O ziemi. Księga II: O środowisku. Res Polona. Łódź 1991.

Marek Koprowski

Dobić widza...

W sobotni wieczór 15 czerwca Telewizja Polska uraczyła swych miłośników retransmisją kryminalnej farsy pt. **„Wybory Miss Polonia' 91"**. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że z ekranu powoli sączyła się trucizna. Organizatorzy wyborów Miss z zimną krwią ukatrupili publicznie całą imprezę, przedstawiając zamiast lekkiego i zgrabnego show, widowisko rodem z prowincjonalnej remizy strażackiej. Biuro Miss Polonia i stołeczna Estrada bili nas widzów młotkiem po głowie z całym zapałem i zawziętością już od pierwszych taktów tej zwyrodniałej z punktu widzenia artystycznego kompozycji.

O reżyserii całości można powiedzieć jedynie, że była to mokra robota szyta grubymi nićmi. Trywialność i prostactwo efektów piętrzyły się z minuty na minutę w tempie błyskawicznym. Prowadzący przetarg – niezwykle dekoracyjny **Jacek Borkowski** – z błyskotliwością i wdziękiem drogowego walca pytał pretendentki do korony o to, czy chiałyby być ładne czy mądre. Już w samym, niezwykle taktownym pytaniu, wydaje się tkwić aksjomat, że jedno wyklucza drugie. Jeśli tak jest w istocie, to mam pewność, że autor owych pytań jest najpiękniejszą ludzką istotą od czasów potopu. Swoją drogą infantylne odpowiedzi, jakie padały u ust Miss były najlepszą tych pytań recenzją. bardziej jednak od tej „błyskotliwej" konwersacji i interesowałaby mnie kwota pieniędzy, za jaką zgodzili się profanować swe nazwiska tak znakomici aktorzy jak **B. Dykiel, K. Kowalewski i P. Machalica**. Wszyscy troje robili złe miny do jeszcze gorszej gry wygłaszając najbardziej żenujące dowcipy jakie wyszły spod młota, przepraszam, spod pióra kogokolwiek w minionym tysiącleciu. O produkcji duetu **Zaucha – Rynkowski** napisali już chyba wszyscy oglądający regionalne wybory Miss w całej Polsce. Od siebie dodam tylko, że szczerze podziwiam upór, z jakim obaj panowie zachałturowują się na śmierć.

W pogoni za kolejnymi „Misskoncertami" nie zauważyli nawet jak bardzo wyrośli już ze swych kostiumików.

I tak przez dwie męczące godziny trwało nieudolne polowanie na efekt. Jedynym dość miłym akcentem tego skandalu było szesnaście młodych, niczemu niewinnych dziewcząt, których przyjemność oglądania opłacona była zbyt krwawo.

Z poziomem tego piramidalnego nieporozumienia konweniowała wypowiedź jurora – pana **Franciszka Starowieyskiego**, emitowana via telewizja śniadaniowa we wtorek 18 czerwca. Otóż szarmancki juror o zdystansowanych przeciwniczkach, obecnej w studio miss, pani **Kariny Wojciechowskiej** był łaskaw wyrazić się per „krowy". No cóż...widać jaki pan, taki kram.

Michał Lenarciński

Mosquito Squadron („Moskito" w akcji) – Jeden z angielskich dywizjonów bombowych otrzymuje specjalne zadanie. Celem jego ataku ma być francuski zamek, w którym Niemcy ukryli tajne laboratorium rakietowe. Zadanie jest tym trudniejsze, że w pobliżu zamku Niemcy umieścili aliancki obóz jeniecki... Bardzo dobry film wojenny, trzymający w napięciu do ostatniej minuty.

Raw Deal (Martwa cisza) – Młode małżeństwo, pragnąc dojść do równowagi psychicznej po utracie dziecka, wypływa jachtem na morza południowe. Gdy na trasie swej podróży napotykają tajemniczy żaglowiec, nie wiedzą jeszcze, że w ciągu najbliższych dni los gotuje dla nich próbę niemal ostateczną. Znakomity thriller, godny polecenia także tym, którzy nie przepadają za tym gatunkiem filmu.

The Blastfighter (Mściciel) – film sensacyjny w stylu „Rambo". Bohater po wyjściu z więzienia wraca do rodzinnego miasteczka i popada w konflikt z bandą kłusowników. Czeka go bezlitosna walka o życie swoje i córki.

The Legend of The Golden Pearl (Legenda o złotej Perle) – Film przygodowy, który jest w stanie zadowolić najbardziej wybrednych miłośników tego gatunku. Oto bowiem podróżnik i badacz Philip Wesley przeżywa w nim przygodę swego życia. Przez kolejne kraje i kontynenty podąża za złodziejami Złotej Perły – posiadającego tajemną moc legendarnego skarbu buddyjskich mnichów...

Filmy dostępne w sklepie „Wideo-Wanda" i w wypożyczalniach kaset wideo.

Marek Stypaniak

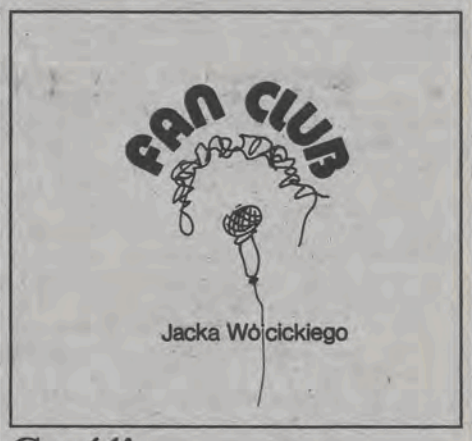

Cześć!

Witamy ponownie w naszym kąciku, dziękując jednocześnie za listy, które dochodzą do nas z różnych stron kraju.

Dziś odpowiemy na nurtujące Was pytanie: KIEDY KASETA JACKA? Artysta materiał nagrywał niespełna miesiąc temu, ukaże się on na kasecie w wersji koncertowej na przełomie września i października. Znajdzie się tam wiele przebojów „piwnicznych" Jacka, np. „Konie Apokalipsy„. Kaseta będzie do nabycia zarówno w sklepach, jak i u nas. Zaznaczam: BĘDZIE; na razie jej nie mamy i nie możemy spełnić Waszych życzeń.

Jacek gościł w Łodzi 13 czerwca, gdy dawał swój recital w ramach Targów INTERFASHION'91. Fan-Club na ten występ nie został wpuszczony, ponieważ – jak nas poinformowała pani z agencji ARTPOL – jesteśmy źle ubrani.

Po występie jednak artysta pojechał z nami na kolację do mieszkania Państwa Ż. i tam podsumował dzień w taki oto sposób: **„publiczność złożona z biznesmenów, menedżerów itp. była zaskoczona i zadziwiona wykonawcą. W połowie recitalu zimna widownia rozgrzała się, a po występie nie mogłem się opędzić od gorącej już publiki.**"

Po koncercie wszyscy udali się na wspólne party, aby przedyskutować samorodny talent J.W., niestety, bez przyjaciela artysty, Konrada Mastyło, gdyż on wyjechał pod opieką miłej damy do zaprzyjaźnionego gabinetu stomatologicznego. W tym czasie grupa fanów przybyła pod Pałac Poznańskich, gdzie wyjątkowo cierpliwie i kulturalnie czekała na wyjście Mistrza, by o godz. 23.00 przejąć znużonego całą tą imprezą Jacka i zawieźć go mrocznymi i rozkopanymi ulicami Łodzi na wspaniałą kolację. Tam oglądano wybory „Miss Universum" (artysta typował bezbłędnie) i zajadano wyborną pastę rybną (specjalność domu). J.W. został powitany kwiatami i szampanem przez F-C już na progu mieszkania. Użalał się tylko na dwie małomówne panienki siedzące naprzeciwko oraz na swój samochód, który pali 12 l/h.

Za tydzień przeczytacie o ostatnim piwnicznym koncercie i – może – imieninach PIOTRA SKRZYNECKIEGO, gdzie będzie duuuuużo wódeczki.

Z pozdrowieniem
Jacek (nie Wójcicki)
i Wójcicki też

Łódzki Centralny Fan-Club „CORRIDA" Jacka Wójcickiego 93-038 Łódź ul. Sanocka 27/13

WIERSZE PIĘKNE

Jan Twardowski

bliscy i oddaleni

Bo widzisz są tacy którzy się kochają
i muszą się spotykać aby się ominąć
bliscy i oddaleni jakby stali w lustrze
piszą do siebie listy gorące i zimne
rozchodzą się jak w śmiechu porzucone kwiaty
by nie wiedzieć do końca czemu tak się stało
są inni co się nawet po ciemku odnajdą
lecz przejdą obok siebie bo nie śmią się spotkać
tak czyści i spokojni jakby śnieg się zaczął
byliby doskonali lecz wad im zabrakło

bliscy boją się być blisko żeby nie być dalej
niektórzy umierają – to znaczy już wiedzą
miłości się nie szuka jest albo jej nie ma
nikt z nas nie jest samotny tylko przez przypadek
są i tacy co się na zawsze kochają
i dopiero dlatego nie mogą być razem
jak bażanty co nigdy nie chodzą parami

można nawet zabłądzić lecz po drugiej stronie
nasze drogi pocięte schodzą się z powrotem

...„Ale w nocy z grobu Tristana wybujał zielony i liściasty głóg o silnych gałęziach, pachnących kwiatach, który wznosząc ponad kaplicę, zanurzył się w grobie Izoldy. Ludzie miejscowi ucięli głóg: nazajutrz odrósł na nowo, równie zielony, równie kwitnący, równie żywy, i znowuż utopił się w łożu Izoldy Jasnowłosej" (J. Bédier, Dzieje Tristana i Izoldy).

Historia Tristana i Izoldy – kochanków legendarnych – pięknie współbrzmi z melodią tego wiersza. Wiersza gorzkiej łzy. Tylko jednej, która spada naprawdę i wbrew wszystkiemu przynosi spokój i ukojenie.

Każdy z nas, wcześniej albo później wie. Coś lub kogoś w swoim życiu przeoczył. Czegoś nie dopowiedział, albo na jakieś słowa czekał daremnie.

Może chciał coś naprawić, lecz było już za późno. Też inaczej – zrobił to nieumiejętnie.

Serca, które się nie odnalazły, albo się sobą przeraziły. A może ślubując innemu człowiekowi lub powołaniu spotkały się nie w tym momencie. W miłości nie ma mądrych. Ten banał wypowiadali ci przed nami, wypowiadamy my i ci, którzy po nas przyjdą.

Jest u Jana Twardowskiego, księdza i poety najwyższej próby wers, który przykuł moją uwagę w odniesieniu do współczesności:

„bliscy boją się być blisko żeby nie być dalej"

Tak. Ludzie pragną, lecz jednocześnie lękają się być sobie bliscy. Jedyni. Aż nie do zastąpienia. Zagłuszają to pragnienie ironią lub cynizmem. Niejednokrotnie seksem – nawet nie erotyzmem.

Niepomni, że miłość trzeba w sobie pielęgnować. Że bez tej najwyższej pielęgnacji ona mija. Wraz z młodością i tak jak młodość. I o dziwo, chętniej, a nawet bez skrępowania przyznajemy się do braku uczuć – niż ich obecności. Niż wierności.

Bliscy i oddaleni.Ten piękny wiersz nie odbiera nadziei nawet tym miłościom, które nie wiedzieć czemu musiały się minąć. Kochankom, zrządzeniem losu rozłączonym. Przeciwnie – jest nadzieją. I możnaby z tą nie najłatwiejszą, ale nadzieją, pozostać, gdyby nie ogarnął mnie jakiś niepokój. Wprost od Leśmiana

„Nie każdy śmiech się zbudzić da!
Nie każda łza się da powtórzyć".

Wybór i komentarz:
Andrzej Babaryko

Z zemsty wskazali go jako wtyczkę UB w podziemiu

W Sieradzu po wojnie...

Życie Jana Ł. wyznaczało w okresie międzywojennym jego społeczne pochodzenie. Urodzony w podsieradzkiej wsi, edukację zakończył na 7 klasach szkoły podstawowej. Z domu wyniósł wiarę i pracowitość. Szkoła nauczyła patriotyzmu, który rozwinął się w Junackich Hufcach Pracy. Jednostka jego pracowała na terenie Wizny, owych sławnych „polskich Termopil", które opuścił na początku września 1939 r. Wojnę spędził na robotach w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu i tam zastało go wyzwolenie. Powrócił w rodzinne strony, założył rodzinę, wahając się czy wziąć ziemię z rozparcelowanego majątku Prądzyńskich. Dziś wspomina, że tak mocno wierzył w jasną przyszłość, że znalazł się w szeregach PPR. Wciągnięto go również do pracy w organach porządku publicznego i wysłano na krótki kurs do Łodzi. Tam uczono go, jak rozpoznawać przeciwników nowej władzy, a jako materiał szkoleniowy służyło m. in. zdjęcie generała Leopolda Okulickiego... Znalazł się z powrotem w Sieradzu, już jako etatowy pracownik Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Teren, na którym przyszło mu pełnić służbę był w czasie wojny wcielony do Rzeszy. Ruch oporu działał tam w trudnych warunkach i był oparty całkowicie na Armii Krajowej. „Komuna" w Sieradzu nie istniała i nie miała przedwojennych tradycji. Trudno więc było bronić interesów ludu pracującego miast i wsi, kiedy w terenie rządził już ktoś inny... Przemaszerowywały tam poakowskie oddziały zbrojne „Groźnego", „Orła", czy „Pawła", z którymi on Jan Ł. – wkrótce kierownik sekcji do walki z bandytyzmem – i jego towarzysze nie byli w stanie nawet się ścigać. Mogli co najwyżej podążać po ich śladach, rejestrując częstokroć ich bardzo krwawą działalność, a czasem kogoś przesłuchać na okoliczność współpracy z „bandami". To cóż, że miasto było pozornie „ich", a nawet dawni współpracownicy Gestapo pracowali teraz ze zdwojoną energią na rzecz UB, kiedy działania miejscowej bezpieki bez wsparcia KBW z Łodzi przypominały pogoń za cieniem. Tym bardziej iż Jan Ł. nie podejrzewał, że jego kolega Stanisław T. – szef sekcji śledczej PUBP – jest współpracownikiem Konspiracyjnego Wojska Polskiego – nowej, potężnej, poakowskiej organizacji w Polsce centralnej. Dokumenty z przesłuchań przeprowadzanych przez kierownika do walki z bandytyzmem wędrowały więc do lokalnej Komendy KWP w Sieradzu. A tam już jej przywódcy – „Wiktor" i „Szary", działając pod szyldem Kierownictwa Walki z Bezprawiem, pilnie śledzili działalność MO i UB.

Szczęście, że na terenie Sieradza lokalne KWP nie wykonywało wyroków śmierci zapadłych w centrali, bo zginąłby niechybnie. Ale postanowienie o konieczności unieszkodliwienia przeciwnika zapadło w umysłach „Wiktora" i „Szarego". Przysłowiowym gwoździem do trumny stał się dzień 3 maja 1946 roku. Po mszy, na czele pochodu z sieradzkiej fary, ze sztandarem więźniów politycznych hitleryzmu kroczył potężny „Szary", były AK-owiec i oświęcimiak. Drogę zagrodził im oddział sił bezpieczeństwa. Przełamali pierwsze szeregi i szli dalej. I wtedy Jan Ł. wskazał na „Szarego", jako prowodyra i kazał go aresztować. Niewiele to pomogło, gdyż wzburzony tłum groźbami i kamieniami doprowadził do uwolnienia swego „przywódcy". Tym samym los gorliwego UB-eka został przypieczętowany... Wkrótce w końcu czerwca 1946 r. UB rozbiło centralny sztab KWP, wpadli też „Wiktor" i „Szary". W chwili aresztowania zdążyli jeszcze porozumieć się, jak zeznawać i 5 lipca 1946 r. specjalna grupa z Łodzi przyjechała... po Jana Ł.

Przesłuchania prowadzone przez ppor. Frenkla w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi wspomina jako koszmar. Ani biciem, ani konfrontacjami nie zdołano przez pół roku zmusić aresztanta do przyznania się do współpracy z podziemiem. Choć wyraźnie świadczyły przeciw niemu materiały z przesłuchań znalezione w archiwum KWP, Jan Ł. nie załamał się. Powtórzył dobitnie na sali sądowej, że jest niewinny, mimo iż „Szary" – skazany już z "Wiktorem" na karę śmierci – wskazał go palcem, jako swego informatora z UB o pseudonimie „Lis".

Prokurator wojskowy, major Feliks Aspis nazwał go najgorszym zdrajcą, bo nie tylko zdezerterował, ale niczym „Wallenrod" pozostał w szeregach UB, aby w odpowiedniej chwili wydać swych towarzyszy na pastwę podziemia...Wszystkie czyny przypisane domniemanemu „Lisowi" były w istocie dziełem Stanisława T., który również zasiadł na ławie oskarżonych, ale cóż znaczyło jego kilka lat więzienia, zawyrokowane 31 grudnia 1946 r. wobec kary śmierci dla Jana Ł.?

Zrozpaczony „Wallenrod" po ogłoszeniu wyroku wyrwał automat z rąk konwojenta, ale wypadnięty dysk uniemożliwił użycie broni wobec uciekającego w popłochu składu sądzącego. Znalazł się w celi śmierci pod specjalnym nadzorem.

Przyszło mu ją dzielić ze swoimi dotychczasowymi, potencjalnymi wrogami. Był wśród nich pracownik UB z Łodzi – Czesław Stachura, któremu miłość do pięknej Bronisławy Borowskiej z WiN podyktowała bezinteresowne wynoszenie akt śledczych. Trwało to blisko rok, aż którejś nocy łódzki szef bezpieki – Mieczysław Moczar czegoś gwałtownie potrzebował i nie mógł znaleźć...

Był tam też „Babinicz" – Alfons Olejnik, dowódca oddziału KWP „Oświęcim". Z nim to nawet planował wspólną ucieczkę w czasie wyborów, ale wcześniej wyprowadzono „Babinicza"...

Ale najbardziej wspomina profesora Kazimierza Grendę, geografa z Poznania – prezesa łódzkiego WiN i jego zastępcę Zbigniewa Zakrzewskiego – szefa wywiadu. Ten ostatni, rozumiejąc jego rozterki, kazał mu czuć się zrehabilitowanym, godnym imienia Polaka, przywracając mu sens istnienia. Profesor Grenda wywróżył mu z ręki, że przeżyje, a nawet doczeka końca komunizmu. Z uznaniem swojej postawy spotkał się również ze strony innych członków sztabu KWP, oczekujących w sąsiednich celach na śmierć. Przypadkowo zetknął się z „Wiktorem". Sprawca jego losów zdążył mu powiedzieć, że jeszcze będzie im dziękował...

Trzy miesiące pobytu w celi śmierci skończyły się ułaskawieniem przez prezydenta Bolesława Bieruta. A po 7 latach więzienia w Sztumie dopatrzono się w jego wyroku dużych nieścisłości. Nastąpiło zwolnienie i rozprawa rehabilitacyjna w marcu 1953 r. Przyczyniły się do tego nowe, zmienione zeznania „Wiktora" i „Szarego", też wówczas ułaskawionych. Podczas odbywania kary w Rawiczu i Wronkach, sami uznali, że Jan Ł. już dosyć się wysiedział. Po latach mógł więc Jan Ł. rzeczywiście im podziękować, że wyleczyli go z komunizmu.

Dziś żyjący jeszcze wszyscy uczestnicy tamtych wydarzeń nie żywią do siebie jakichkolwiek uprzedzeń. Rozumieją doskonale, że był to czas bezwzględnej walki... Oni wybaczyli mu jego służbę w UB, która nie zdołała zatrzeć w nim człowieczeństwa. Wybaczył i im Jan Ł. lata poniewierki, które spowodowały, że odzyskał na nowo wiarę i przestał być „czerwonym". Jednego tylko nie zdołał zrobić w tamtym czasie – przekazać rodzinom Alfonsa Olejnika i Zbigniewa Zakrzewskiego ich ostatnich pozdrowień z celi śmierci...

Tomasz Lenczewski

Kierownictwo Walki
Z Bezprawiem
Do Posterunku
Milicji Obywatelskiej
w pow. Sieradz.

Ponieważ wywiad donosi stale o niewłaściwym zachowaniu się funkcjonariuszy M.O. w stosunku do członków i sympatyków Ruchu Podziemnego, komunikujemy co następuje:

Zadaniem M.O. jest tępienie złodzieji i bandytów, nękających ludność, a nie ściganie za nami, którzy jako organizacja ściśle polityczna, walcząca przeciw wrogom Polski i reprezentująca wolę całego narodu, nie mamy z bandytami nic wspólnego.

Milicjant powinien być opiekunem powierzonych swej pieczy współobywateli a nie, jak teraz w większości wypadków płatnym szpiclem Urzędów Bezpieczeństwa. Nie łączcie się z odstępcami, a my ze swej strony docenimy ważność waszych zadań i zagwarantujemy bezpieczeństwo i pomoc.

Względem przekupionych sługusów żydowsko-komunistycznego Rządu Tymczasowego stowować będziemy jak najsurowsze represje, nie cofając się nawet przed karą śmierci.

M.P. 20.5.1946 r.

Kierownictwo Walki
z Bezprawiem.

Od redakcji: dla zachowania autentyczności dokumentu nie dokonaliśmy poprawek w maszynowych błędach i pisowni.

Byliśmy już dość zmęczeni. Program miał poślizg. Było grubo po 20.00. Co niektórzy reprezentanci dzienników zaczęli narzekać, że mogą nie zdążyć z korespondencjami. Wypoczynek w hotelu nie był znów tak doskonały, gdyż w ramach oszczędności dziennikarzom zaoferowano dwa pokoje, gdzie mogli co najwyżej zostawić bagaże, umyć ręce i to wszystko, w dodatku, na zmiany.

Premiera nadal nie było.

Wzmagało się zmęczenie, głód i obawy. Niektórzy rozpoczęli próby telefonicznego łączenia się z Warszawą czy biurem w Moskwie. Nie były to owocne przedsięwzięcia.

– *Musimy coś zrobić* – odezwał się Jarek Szczepański.

– *Tylko z kim tu gadać*? – wyraziłem mało odkrywczą myśl.

– *Może z którymś z „moskiewskich dziennikarzy"? Kogoś powinni przecież wskazać* – dokończyłem.

Zaczepiliśmy jednego z nich, pytając czy nie orientuje się w sytuacji. Twierdził, że nic nie wie. Wskazał jednak na niewysokiego w średnim wieku jegomościa, co do którego miał informacje, że powinien coś wiedzieć. Jegomość też stwierdził, że nic nie wie, ale się dowie, po czym gdzieś się rozpłynął.

Do halu wbiegła rozgorączkowana Renate Marsch z DPA.

– *Panowie zróbcie coś? Nie możemy już czekać! Może by tak polecieć do Moskwy przed premierem? Przecież nie musimy jeść kolacji*!

Niektórzy z zagranicznych dziennikarzy przylecieli z premierem w zasadzie dla tego jedynego dnia, dla uwiecznienia i zrelacjonowania wizyty w Katyniu.

– *Właśnie prosiliśmy o wyjaśnienie sytuacji* – odpowiedziałem.

Ale nasz jegomość z odpowiedzią nie przybywał. Rozpoczęliśmy więc z Jarkiem poszukiwania. Natrafiliśmy na jegomościa w kawiarni. Siedział przy butelce wody mineralnej i beztrosko gaworzył z kompanem. Niczego się jednak nie dowiedział. Przekonany byłem, że wcale się nikogo o nic nie pytał.

– *W takim razie, mamy propozycje, aby wysłać dziennikarzy do Moskwy przed premierem. Kolacji jeść nie muszą* – zaproponowałem.

– *Jak to, nie muszą*? – pełnym zdziwienia głosem zapytał jegomość.

– *To będą bardzo głodni. W hotelu w Moskwie o tej porze niczego nie zjedzą.*

– *Czy pan nie rozumie, że mogą nie zdążyć z informacjami do swych gazet*!? – wypowiedziałem lekko zirytowanym głosem. – *Sami chcą już lecieć.*

– *Ale to nie ode mnie zależy* – odparł jegomość.

– *To załatw pan, do cholery, z tym, od którego zależy* – krzyknął po polsku zniecierpliwony Jarek.

Jegomość zrobił baranie oczy. Przetłumaczyłem więc, dobierając nieco oględniejszych słów. Wstał. Poprosił o chwilę cierpliwości i odszedł. Znów gdzieś przepadł.

Poszukiwania należało zacząć od nowa. Zanim znów się ukazał, minęło około pół godziny. Był trochę zaniepokojony naszym widokiem. Jarka poniosło. Tak był zdenerwowany, że słowa mu więzły w gardle. Jednakże efektem ponownej, ostrej już rozmowy z jegomościem, było przyjście do holu, w którym toczyliśmy spór, człowieka stojącego w drabinie służbowej nieco wyżej. Wiedział już o problemie. Dodatkowe informacje, wzmocnione bezsilnym z gniewu i niemocy komentarzem otaczających nas dziennikarzy, przyniosły przełamanie biurokratycznej obojętności naszych gospodarzy.

– *Nu. W takom słuczaje, nada zwanit' k'gienierału* – skomentował sytuację urzędnik i podszedł do telefonu.

Pozostawało jedynie domyślać się, jak ważną osobistością jest generał i wierzyć w to, że jednak coś będzie mógł pomóc. Rozmowa z generałem trwała znaczną chwilę. Być może nie mógł on sam podjąć decyzji. Może musiał się konsultować z kimś jeszcze bardziej znaczącym.

Mieliśmy jak na dłoni, laboratoryjnie i doświadczalnie rozłożony przed nami styl funkcjonowania radzieckiego systemu. Potężna struktura wielopoziomowej machiny, w której każdy element posiadał tyle tylko informacji, aby nie skłaniały go do zbytniego myślenia o całości, o efekcie. Zadania sporej grupki kłębiących się wokół nas osób: „moskiewscy dziennikarze", jegomość, wyższy urzędnik, ich koledzy w szynelach i kożuchach – dla każdej z nich być może były jasne i precyzyjne, ale w naszym odbiorze nijak się miały do sytuacji, które przyniosło życie. Machina była sztywna, mało elastyczna. Prostszym dla niej wyjściem było robienie uników i głupich, nie rozumiejących min, niż zaradzenie nieoczekiwanym problemom. Przyspieszaczem mógł być tylko nowy rozkaz, albo awantura o jego wydanie. W każdym przypadku dotrzeć trzeba było do „generała" albo jeszcze wyżej.

Poza Smoleńskiem.

Napięty program wizyty nie zezwalał na zapoznanie się z Moskwą. Premier Tadeusz Mazowiecki był tu po raz pierwszy, więc brak ów zrekompensował sobie nocnym wypadem na Arbat. Oficjalną jednak namiastką turystycznej części wizyty w stolicy wschodniego sąsiada, miało być odwiedzenie zabytków Kremla, w tym jego Skarbca. Tam też czekaliśmy na premiera. Skierowano nas do podziemi. W piwnicy spędziliśmy ponad trzy godziny, co niektórzy zaczęli komentować jako niezwykle pozytywny element biografii. Nawet trzech godzin w podziemiach Kremla nie spędza się, ot tak, po prostu za niewinność. Piwnica przebudowana była na szatnię. Ściany wyłożone marmurem. Pozwolono nam nawet palić, choć walka z „kureniem", to drugi front bitwy z alkoholizmem. Oczekiwanie usypiało. Celowała w tym Debi Stewart z AP, mała, figlarna dziewczyna, która w każdej sytuacji, gdy tylko była ku temu sposobność, choć przez pięć minut, potrafiła odrabiać zaległości nie przespanych nocy.

Z korytarza prowadzącego na górę dobiegły nas głosy. Rozmawiano po polsku. A więc przybył premier. Wszyscy poderwali się do wyjścia, jednakże w tym samym momencie drzwi zostały zamknięte i w dodatku zasłonięte przez pokaźne ramiona, z których zwisała rozpięta marynarka z charakterystycznym wybrzuszeniem pod odsuniętą nieco od tułowia lewą ręką. Życiorys stawał się coraz bogatszy. Jesteśmy uwięzieni. Odcięto nas od premiera, od delegacji, od świata. Naszego strażnika nie przekonywały żadne argumenty. Niewzruszenie tarasował dojście do drzwi. Nie ośmielił się jednak sięgnąć po broń, gdy wraz z Jackiem Snopkiewiczem i Jarkiem Szczepańskim natarłem na wyjście. Otworzyliśmy drzwi, ciałami wypychając wartownika na zewnątrz, ku schodom. Za nami napierali pozostali. Strażnik zdołał oprzeć się jednak naciskom tuż przed wejściem na półpiętro, z którego było już widać korytarz i przechodzących członków delegacji.

– *Adam. Trzymają nas tutaj*! – zdążył wykrzyczeć Jarek do przechodzącego w górze syna premiera.

Nie wiem, czy to właśnie pomogło, czy nasz

Dawna Łodź

Powieść z szyfrem

Pewnego listopadowego dnia 1907 r. w fabryce Towarzystwa Akcyjnego I. K. Poznański zarząd firmy wymówił wszystkim zatrudnionym pracę, zapowiadając bezterminowe zamknięcie przedsiębiorstwa w razie odrzucenia przez robotników warunków stawianych im przez Związek Fabrykantów Łódzkich Przemysłu Bawełnianego. Szef firmy **Maurycy Poznański** (1868-1937) uznawał wprawdzie lokaut za krok barbarzyński, ale w tamtych bliskich anarchii warunkach uzasadniony.

Pretekstem do podjęcia tak okrutnej decyzji było znieważenie jednego z dyrektorów firmy Anglika Stevensona przez pracowników ślusarni oraz wyrzucenie za bramę fabryki gorliwego strażnika niesłusznie zarzucającego kradzież robotnikowi opuszczającemu teren fabryki. *Niestosowne i ubliżające zachowanie wobec zwierzchników, jak również tolerowanie, a nawet popieranie kradzieży, musi pociągnąć za sobą karę*" – twierdzili przemysłowcy. Dodatkowo żądali wyrzucenia na bruk 98 robotników, oskarżanych o sianie zamętu i rozpowszechnianie ulotek. Ponowne otwarcie fabryki uzależniali od przeproszenia Stevensona przez robotników i od zgody załogi na warunki stawiane jej przez pracodawcę.

Na wieść o sytuacji w zakładach Poznańskiego zawrzało w innych przedsiębiorstwach, groził strajk powszechny. W odpowiedzi przemysłowcy ogłosili lokaut w największych fabrykach łódzkich, należących do Scheiblera, Heinzla i Kunitzera, Grohmana, Steinerta i Biedermanna. Na bruku znalazło się ponad 20 tysięcy robotników, tysiące rodzin pozostało bez środków do życia. Lokaut trwał do 4 maja, następnego dnia ruszyły wszystkie fabryki, robotnicy ugięli się pod presją ekonomiczną. O dramatycznych wydarzeniach wspominają dokumenty i historycy tamtego okresu, zaś zbeletryzowany opis lokautu zawdzięczamy powieściopisarzowi, publicyście i poecie **Kazimierzowi Laskowskiemu** (1861-1913). W kilka miesięcy po przerwaniu lokautu pojawiła się niepozorna książeczka Laskowskiego pt. „Lokaut", nie ujawniająca miejsca i roku wydania oraz nazwiska wydawcy.

Fabuła opowiastki jest nieskomplikowana i naiwna. Fabrykant Moryc Berliński pragnie uwieść zatrudnioną w swej fabryce Julkę Marczakównę, wierną ukochanemu Jankowi Hucie. Nie odniósłszy sukcesu erotycznego łódzki „król bawełny" pragnie zemsty i dla jej zaspokojenia inicjuje lokaut. Dalszy opis wydarzeń odpowiada prawdzie historycznej, zaś współcześni rozpoznawali w bohaterach powiastki autentycznych sprawców łódzkiej biedy. Panowie Krachstifter, Bluthsauger, Bauerwürger, Bengelmann i Stepler uosabiali wymienionych wcześniej potentatów łódzkiego przemysłu bawełnianego.

Centralny organ PPS Frakcji Rewolucyjnej „Trybuna" z 15 lutego 1907 r. informował czytelników: „*do fabrykantów, ukrywających się w stolicy cara Wilhelma* (tj. w Berlinie – AK),

wspólny, wzmagający się rwetes. Po niejakim czasie zbiegł po schodach mężczyzna. Nakazał nas wypuścić. Dziennikarze ruszyli biegiem w górę do sal wystawowych, a ja w naiwności swej zażądałem nazwiska naszego niedawnego jeszcze ciemiężyciela. Stał on teraz oparty o ścianę z niewinną, zakłopotaną miną.

– *Gospodar, nie nada. On nie winowat. U niego był takoj prikaz.*

– W pośpiechu tłumaczył przybyły z odsieczą radziecki człowiek. Jego też o nazwisko pytać nie należało, choć ja mu się przedstawiłem. Wszystko było jasne. Rozkaz mógł wydać tylko ten, do którego trafiłby ewentualny protest o uniemożliwienie wykonywania czynności zawodowych dziennikarzom akredytowanym przy oficjalnej wizycie premiera Rzeczypospolitej.

Weszliśmy do komnaty wypełnionej gablotami, w których aż „kapało" od złota. Samorodki od maleńkich do największego na świecie. Biżuteria, ozdoby. Całe to bogactwo tylko za szkłem. Po niedawno przeżytej przygodzie zdawało się to niewiargodne.

– *No cóż. W Związku Radzieckim złoto czy inne kosztowności nie są najważniejsze. Najważniejszy jest człowiek. To dla jego dobra trzyma się go za kratami* – wyjaśnił jeden z obecnych.

Był to zapewne żart, ale jakże makabryczny.

Rozmowa ze smoleńskim generałem dobiegła końca.

Znajomy urzędnik przyniósł pocieszające wieści.

– *Generał zgadza się na lot części grupy, najbardziej potrzebujących. Około 12 osób* – oświadczył.

Szybko przygotowaliśmy listę. Telewizje, agencje, dzienniki.

Inni mogą poczekać. Wywoływałem nazwiska wybrańców.

– *Proszę wsiadać do autokaru. Pojedziecie państwo na lotnisko* – informowałem.

Zaczął się ruch.

Wyszedłem na zewnątrz budynku, aby poinformować kierowcę autobusu co ma czynić. Uderzyło we mnie mroźne powietrze. Mocniej zacisnąłem poły płaszcza. Byłem już obok autobusu. Kierowca rozgrzewał silnik. Większość z wybranej dwunastki usadowiona już była za oszronionymi oknami „Ikarusa". Już chciałem także zanurzyć się w jego wnętrze, gdy spostrzegłem jak na przyhotelowy parking ze znaczną szybkością zajechała „Wołga". Nie zdążyła się jeszcze zatrzymać, a już otworzyły się drzwi. Z samochodu wyskoczył Jurek Dobrowolski, pracownik protokołu dyplomatycznego naszego MSZ. Biegł w moim kierunku, naciskając na głowę ciepłą, futrzaną czapkę.

– *Gdzie się tak spieszysz, kolacji jeszcze nie dają* – zażartowałem.

– *Zbieraj dziennikarzy i ruszajcie na lotnisko* – padła szybka odpowiedź.

– *Właśnie odprawiam dwunastu.*

– *Jakich dwunastu?! Zabieraj wszystkich! Premier jest na lotnisku, a właściwie już w powietrzu!*

Byłem zaskoczony.

– *Jak to w powietrzu? Dopiero co otrzymaliśmy od jakiegoś generała, pewno zawiadującego lotami, informację, że może w pierwszej kolejności wysłać samolot z dwunastoma dziennikarzami. Już od ponad godziny staramy się stąd wyrwać.*

– *A ja godzinę temu dzwoniłem do hotelu, żeby was poinformowali, że premier na kolację nie przyjedzie, tylko wprost na lotnisko. Nic wam nie powiedzieli?* – irytował się Jurek. – *Wszyscy pojechali na lotnisko, a że was nie było, to specjalnie przyjechałem.*

Słowa Jurka szokowały. Nie było jednak czasu na zbędne w tej sytuacji urągania. W bezsilnej złości nakierowanej ku gospodarzom wycedziłem jedynie coś w rodzaju „kurwicy można dostać", po czym odwróciłem się na pięcie.

– *Jedź na lotnisko, zaraz tam będziemy!*

Wracaliśmy do Moskwy

W głowie kołatały się wrażenia mijającego dnia. Mroźna, acz wzruszająca msza w Katyniu, komiczna demonstracja w Smoleńsku przeplatały się z obrazami przeklinającego niesprawność organizacyjną ministra Jacka Ambroziaka i własnymi z nią doświadczeniami. To wszystko już za nami. Pozostało tylko lądowanie, przejazd do centrum prasowego, a potem odpoczynek w hotelu „Rassija". Może jednak będzie tam coś do jedzenia? Jeżeli nie, pozostaną papierosy dla oszukania głodu i odprężający spacer po zasypanym śniegiem placu Czerwonym.

Kilka osób, na rozłożonych przed sobą stoliczkach notowało wrażenia i relacje, które ukażą się w jutrzejszych gazetach.

Port wojskowy – Moskwa

Otworzono drzwi i po chwiejących się schodkach zeszliśmy na płytę lotniska. Silny mróz wspomagany wiatrem dmącym z otwartych przestrzeni aeroportu szczypał w policzki. Niemiła pogoda gnała wszystkich ku bramce prowadzącej na parking obok budynku dworcowego, gdzie miały czekać samochody. Prosiliśmy o mikrobus i kilka wozów osobowych, dla tych, którzy chcieli dotrzeć do biur swych redakcji rozrzuconych po różnych punktach ośmiomilionowego miasta. Zadaniem mikrobusu było dowiezienie pozostałych do centrum prasowego, a potem do hotelu. Ku ogromnemu zdziwieniu i niemal rozpaczy, na parkingu, w asyście dwóch wozów milicyjnych stał jedynie... mikrobus. Kolejna przykra niespodzianka. O ich nadmiar niezwykle sumiennie dbali gospodarze. Jak rozwieźć wszystkich tam, dokąd chcą dojechać i to w dodatku na tyle sprawnie, by zdążyli przed zamknięciem składu swych gazet? Samochody milicyjne okazały się bezużyteczne, gdyż ich dysponentom nie pozwalano nikogo podwozić. Miejsc w mikrobusie było zbyt mało, abyśmy wszyscy zdołali się do niego zmieścić.

Poprosiłem o możliwość skorzystania z telefonu. Porozumiałem się z attaché prasowym polskiej ambasady. Był w domu i nie bardzo rozumiał, jak doszło do zaistniałej sytuacji. Obiecał interweniować, ale na efekt należało czekać. Wróciłem na parking. W czasie mojego telefonowania Jarek Szczepański zaprowadził względny ład wśród dziennikarzy. Uzgodnili, że wszyscy z wyjątkiem Renaty Marsch, która poprosiła o dowiezienie do najbliższej stacji metra, pojadą do centrum prasowego i stamtąd nadawać będą korespondecje.

Pozostało upchnięcie się do mikrobusu. Jarek, ja i oddelegowany do Katynia pracownik Wydziału Prasowego ambasady, niezwykle sympatyczny młody człowiek, który – jak się później dowiedziałem – był oficerem służby bezpieczeństwa, co zakończyło się dla niego odwołaniem z placówki, postanowiliśmy pozostać na lotnisku. Mikrobus miał jednak ograniczoną pojemność. Najważniejsze, że ci, którzy jeszcze musieli pracować – odjechali. Rozpłynęli się także gdzieś nasi nieodłączni dotąd „moskiewscy dziennikarze". Pozostał tylko jeden. Towarzyszący nam pracownik Wydziału Prasowego ambasady wiedział, kim jest ten, który się ostał. Domyślaliśmy się tego i my.

Oczekiwanie efektu zapowiedzianej interwencji ambasady na mrozie przed budynkiem dworca lotniczego, nie mogło być zachęcające. Weszliśmy więc wszyscy czterej do środka. Nasz opiekun poprowadził do kawiarenki. Mimo późnej pory była czynna. Zamówiliśmy jakieś ciastka, małe kawy i gazowany napój z etykietką na butelce „Fanta". Poprawiło to nieco humory, tym bardziej że Rosjanin oznajmił, iż telefonował do bazy, skąd już wyjechał po nas samochód. Sam starał się możliwie jak najbardziej ironicznie komentować to, co zaszło. Opowiadał, że ktoś tam nie ma dobrze w głowie, że chyba poszaleli... Oni. Skąd my to znaliśmy? Zawsze winni są jacyś ONI. Każdy z osobna nie ma sobie nic do wyrzucenia, ale jednak w gromadnych działaniach coś nie wychodzi, coś się nie udaje, partaczy. Zrozumiałe wówczas, że winni są ci bezgłowi ONI. Bo przecież nie my. My chcemy dobrze. Równie dobrze chciał nasz aktualny gospodarz. Pragnął nawet regulować nasze rachunki. Bez większych jednak targów, każdy zapłacił za swoje, gdy dotarła wiadomość, że podjechał już samochód. Siedzieliśmy przy stoliku około godziny, a więc jak na doświadczenia dnia i przy uwzględnieniu odległości, akcja była niezwykle sprawna.

Wyszliśmy na zewnątrz. Na parkingu okolonym zwaliskiem śniegu stała tylko jedna „maszyna". O radziecka gościnności! Za to jaka duża! W światłach latarni czerwienił przed nami ... autobus komunikacji miejskiej, a przynajmniej na taki wyglądał. Spojrzeliśmy po sobie z wyrazem zaskoczenia. Przenieśliśmy wzrok ponownie na autobus i...parsknęliśmy śmiechem.

– *Czyż nie mogli przysłać takiego od razu?* – zawołałem, kierując pytanie właściwie do nikogo.

Weszliśmy do wychłodzonego, metalowego pudła. Kierowca otulony był szczelnie kożuchem. Na głowie miał futrzaną czapkę z opuszczonymi nausznikami. Ogrzewanie było zepsute. Dokładniej więc otuliliśmy się paltami, zajęliśmy miejsca i odjazd. Kierunek – centrum prasowe MSZ. Trzeba sprawdzić, czy tam nie przygotowano jakichś „siurpriz". Gdy dotarliśmy na miejsce, potężne gmaszysko było już zamknięte, a wokół żywej duszy. Nic dziwnego, na zegarkach dawno już minęła północ.

– *Miejmy nadzieję, że udało się wszystkim nadać* – sennie skomentował Jarek.

– *Oby* – potwierdziłem.

Ruszyliśmy pod Kreml, do hotelu.

Skończył się ostatecznie dzień katyński

W sercu pieściłem nadzieję, że już żadnych niespodzianek nie będzie. No chyba, że w łazience na wannie nadal tkwi zabity ubiegłej nocy karaluch, pozostawiony specjalnie dla autopsji służb sanitarnych potężnego hotelu. Ubite wcześniej po prostu spłukiwałem w muszli klozetowej.

Otworzyłem drzwi pokoju. W holu zrzuciłem wierzchnie ubranie, buty i marynarkę. Wszedłem do łazienki. Na wannie czerniał rozgnieciony karaluch. Spłukałem go wodą już bez jakichkolwiek refleksji na temat gospodarzy. Obmyłem ręce i twarz.

Ciemność w pokoju rozproszyłem światłem stojącej w kącie lampy. Zapaliłem papierosa i siadłem w fotelu. Nachylając się do popielniczki leżącej na stoliku, dostrzegłem obok niej elegancko zawiniętą płaską paczkę. Do opakowania przyklejona była mała koperta z kredowego papieru, na której „bukwami" wypisane było moje nazwisko, poprzedzone dopiskiem „Gospodar". Odkleiłem kopertę. Wewnątrz była wizytówka. Premier ZSRR, Nikołaj Ryżkow, przesyłał mi upominek. *Dziękuję, panie premierze* – pomyślałem, a w głowie błąkał się komentarz, że i bez pamiątki, pamiętać będę. Tym niemniej, jeszcze raz dziękuję.

Krzysztof Bakalarski

Dzień Katyński (2)

Trudny powrót do Moskwy

„Tadeusz Mazowiecki w Katyniu. Pierwszy w historii, niekomunistyczny premier Polski modlił się pod krzyżem katyńskim upamiętniającym bestialski mord dokonany przez NKWD na polskich oficerach".

Takie lub podobne słowa dotarły nazajutrz do wielu ludzi na całym globie. Rozpoczęło się odkłamywanie historii. Ogromne to miało znaczenie dla wielu polskich rodzin, dla wszystkich rodaków. Niemałe także dla społeczności świata. Przybliżało chwilę ujawnienia całej prawdy o Katyniu, o zbrodniczym systemie rządów Stalina, co stawało się moralnym usprawiedliwieniem odrzucenia politycznych efektów tego systemu.

Już wówczas, w samolocie, leniwie snującym do Moskwy, miałem świadomość historyczności zdarzenia, w którym dane mi było uczestniczyć. Historię można odkłamać. Losy narodów można zmienić. Okazywało się to rzeczywistością potwierdzaną w Czechosłowacji, potem przez Niemców, wreszcie w Rumunii. Każdy z tych narodów ma swoich bohaterów. Żywych lub umarłych. Ich duch i słowa pomagały zmienić rzeczywistość. Dla nas Polaków, tak oddanych idei bohaterstwa, poświęcenia i patriotycznej śmierci, duchy zamordowanych w Katyniu miały specyficzny wymiar w historii. Wszak niemal na paradoks zakrawa fakt, że 10 lat wcześniej, gdy rodziła się „Solidarność", a w sklepach królował osławiony ocet, nie sprawy ekonomiczne były dla znacznej części społeczeństwa najważniejsze, lecz właśnie Katyń. Być może traktować to należy nie jako treść, lecz symbol tamtych lat. Symbol siły narodowych wartości, historii i dumy, które wzmacniane słowami polskiego Piotra, obrodziły po 10 latach plonem wolności i demokracji. Katyń więc, był w społeczeństwie ziarnem. Pamięć o nim – nadzieją.

Myśli przerwane zostały nagłym szarpnięciem. To samolot dotknął kołami ziemi.

udała się delegacja Towarzystwa Kultury Polskiej, udał się potem ksiądz i bankier, i arystokrata, ale przemysłowcy wskazali drzwi". Nie wymienionymi tu z nazwisk mediatorami byli: ks. **Marceli Godlewski**, bankier **Leopold Kronenberg** i **Adam Krasiński**, herbu Ślepowron. W powiastce Laskowskiego noszą oni nazwiska: bankier Krusenberg, hrabia Ślepowron i ks. Modliński. Akcja pojednawcza nie odniosła skutku. Przemysłowcy pisali: „*Odrzuciliśmy proponowaną nam akcję pojednawczą, uznając ją w tym wypadku za niepożądaną i bezcelową*". W opowiadaniu Laskowskiego krwiopijcę berlińskiego gnębią wyrzuty sumienia i zwidy, po czym doznaje ataku paraliżu i umiera. Tymczasem Poznański żył jeszcze długie lata, choć był o krok od śmierci, z rąk zamachowca **Piotra Gawlaka**, który miał nań rzucić bombę w sali konferencyjnej pałacu przy ul. Ogrodowej.

Książka Laskowskiego nie wytrzymała próby czasu, zapomniała o niej doszczętnie krytyka literacka i czytelnicy. Milczą o tej skromnej powiastce z pogranicza reportażu i literatury faktu historycy literatury, nawet bibliografowie się mylą. Prawdopodobnie kolportaż książki uległ zahamowaniu, po 1910 r. zmarł jej nakładca J. Sokolnicki i dopiero po wielu latach, już w Polsce niepodległej ktoś puścił broszurę w obieg, dodając jej okładzinkę w następującym brzmieniu: „Lokaut. Powieść łódzka. Nakład J. Sokolnickiego. Skład główny Warszawa, Nowy Świat 34, drukarnia „Reformy". Książeczka, mimo niewysokiej ceny 40 groszy, nie odniosła już sukcesu czytelniczego, bo treść jej trąciła myszką, przypominając dawno minione czasy. Mimo to warta jest dobrej pamięci, czemu służy ten szkic.

Andrzej Kempa

Książki i czasopisma: „DZIŚ nr 5"

PPS – dobra firma

W sprzedaży jest już nr 5 przeglądu społecznego „DZIŚ". W numerze między innymi znajdujemy szkic **Zdzisława Grzelaka** o przewidywanych skutkach zjednoczenia Niemiec dla Polski. **Jan Szczepański** pisze o jednej z amerykańskich wizji przyszłości Polski. **Andrzej Czyż** analizuje polską scenę polityczną, a **Mieczysław F. Rakowski** opowiadda o przebiegu swojej wizyty w Moskwie i o sposobie jej relacjonowania przez **Leona Bójko** w „Gazecie Wyborczej".

Jan M. Urbaniak przeprowadził rozmowę z **Janem Mulakiem**, która dotyczy przeszłości PPS. Jej tytuł: „*PPS to ciągle dobra firma*". Podtytuł: „*Byłem trzecim wrogiem klasy robotniczej i Związku Radzieckiego*". Na wstępie Jan Mulak przypomina, że po wojnie był sekretarzem KC Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, która nie weszła do KRN, a w której rozłamu dokonali **Stanisław Szwalbe** i **Edward Osóbka-Morawski**. Ten odłam socjalistów, który reprezentował między innymi Jan Mulak, gotowy był na współpracę z komunistami, ale nie na zasadzie hegenomii tej partii. Socjaliści wiedzieli, że są dwa typy komunistów: naiwni idealiści i dobrze przeszkoleni zawodowcy, gotowi na wszystko, z rozstrzeliwaniem włącznie. Ale Edward Osóbka-Morawski srodze się zawiódł – powiada Jan Mulak – bowiem, gdy PPS stała się 200-tysięczną partią i Edward Osóbka chciał stanąć na jej czele, „*komunistów zalała krew – co ten pętak tu szuka*". Wtedy „*napuścili*" **Feliksa Baranowskiego, Stefana Matuszewskiego i Henryka Świątkowskiego**, którzy „*Osóbkę wykończyli*". Wtedy też pojawił się **Józef Cyrankiewicz**.

PPS potrzebna była wówczas – powiada Jan Mulak – sprawna grupa działaczy i taką okazała się grupa krakowska, w której między innymi był **Włodzimierz Reczek, Lucjan Motyka i Józef Cyrankiewicz**, który „*z Oświęcimia wyniósł cyniczną ocenę ludzi*". Zdaniem Jana Mulaka Józef Cyrankiewicz „*cały czas grał grę najmniejszych strat tego narodu. W związku z tym, że wiedział, kto to są komuniści. On doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma możliwości uratowania nawet najbliższego przyjaciela, jeśli go zaatakują komuniści. Dlatego uważano, że jest on świnią i cynikiem. Tymczasem był mądrym człowiekiem, który znał swoje możliwości...*"

Do starcia między PPR a PPS – powiada Jan Mulak – doszło na trzech płaszczyznach: w sporze o władzę załogi, czyli o rolę samorządu robotniczego; w walce o ocenę pracy kobiety, czy jest to praca produkcyjna, czy nie i przyjęta formuła PPR zniszczyła rodzinę i gospodarstwo domowe; na polu walki o budownictwo mieszkaniowe, czy ma być spółdzielcze, czy zakładowe, a więc jako narzędzie w rękach personalników. I mimo przegranej polscy socjaliści spowodowali, że „polski stalinizm" był mimo wszystko inny od tego, który udało się zaprowadzić w innych krajach demokracji ludowej. Również inną planowano formę zjednoczenia obu partii, taki był układ między **Józefem Cyrankiewiczem** a **Władysławem Gomułką**. Niestety – powiada Jan Mulak – zwyciężyła w praktyce koncepcja bierutowska.

„*...w dokumencie zjednoczeniowym partii* – powiada Jan Mulak – *są wymienieni wrogowie polskiej klasy robotniczej i Związku Radzieckiego. Ja jestem trzeci na tej liście. Pierwszym wrogiem jest Drobner, drugim – Wachowicz, a na trzecim miejscu – ja z Teofilem Głowackim. Niełatwo było później żyć z takim piętnem, więc zrobiłem ruch konika szachowego i poszedłem do sportu*".

W wywiadzie tym jest kilka opinii, które warto przytoczyć:

– Emigracja. *Hasło polskich socjalistów jest takie: działać trzeba w każdych warunkach. Jak nie można szeroko, to wąsko. Przejście na emigrację wewnętrzną jest najbardziej niepłodną historią. Ci, co taką drogę wybrali są dumni, ale jeszcze bardziej śmieszni. Przyjeżdża na przykład Ciołkoszowa, po 50 latach do kraju i jest zadowolona z siebie. Tacy emigranci nie są marginesem. To prawie tak samo jak z przekazaniem insygniów prezydenckich. Operetka z widownią na 10 widzów*".

„PPS Jana Józefa Lipskiego. „*Kiedy zgalwanizowano „Solidarność" w 1985 roku, bez tej pomocy zewnętrznej, materiałowej, to by nic z tego nie wyszło. Wówczas Lipski dostał koncesję na PPS. To była solidarnościowa historia nie mająca wiele wspólnego z pepesowcami*".

SdRP. „*Ruch socjaldemokratyczny, nawet współczesny, musi mieć pewne elementy ideowości. Tylko pragmatyczne podejście, bez pewnego solidaryzmu jest dobre, ale dla związków zawodowych*".

PPS. „*...mam nadzieję, że w ciągu 5 lat odbudujemy w Polsce ruch socjalistyczny przechodząc przez ciężkie doświadczenia społeczne*".

Opracował:
Jerzy Glinik

GABINET ODNOWY BIOLOGICZNEJ

95-100 ZGIERZ (NOWA GDYNIA) ul. Chopina 23
tel. 16 36 28

rewelacyjna metoda odchudzania

KOMPUTEROWY MASAŻ LIMFATYCZNY DA CI SZCZUPŁĄ SYLWETKĘ!
– ODCHUDZAMY CAŁE CIAŁO, TALIĘ, BIODRA, UDA, PLECY, RAMIONA

Krem odchudzający jest wcierany metodą masażu klasycznego

- Prowadzimy dokładne pomiary miejsc odchudzanych
- Gwarantujemy wyszczuplenie sylwetki od 1 do 3 cm po jednym zabiegu i znakomity relaks.
- Zapraszamy na elektrostymulację (ujędmianie piersi, mięśni)
- Sauna
- Masaż klasyczny
- Solarium – turbo

WYSOKA JAKOŚĆ

OGŁASZAJ SIĘ W „ODGŁOSACH"

Firma „Maria-Deniz" – „Öz Varol"

Zaprasza

do Turcji w każdą sobotę
Atrakcyjne wczasy nad Morzem Egejskim

Ceny konkurencyjne
Tel. 33-44-30, 88-11-58

EAST – WEST BUSINESS OFFICE ŁÓDŹ – POLAND

Uwaga hurtownicy i detaliści

Duńskie naturalne syropy **„BONANZA"** w różnych smakach: kiwi, mango, ananas, malina w efektownych kartonikach 1 l syropu na 4 l napoju. **Preferowane przez Sanepid – atest.**
Bezpośredni i wyłączny importer
Firma „EAST-WEST", tel. 78-38-65, tlx 884157, fax 740221.
Magazyn – Łódź
32-73-50 lub 87-42-75

PRAWDZIWY DOM ● PRAWDZIWY DACH

TEGOLA CANADESE

WŁOSKIE DACHÓWKI BITUMICZNE NAJNOWSZEJ GENERACJI

Powiązanie najlepszych tradycji z nowoczesną technologią:

kolorowe ● lekkie ● elastyczne ● szczelne
mrozo- i ognioodporne ● łatwe w montażu
● nie wymagające konserwacji

Stoiska informacyjne:

- Łódź, ul. Zamenhofa 1/3, tel. 32 66 82
- Warszawa, ul. Bartycka 26 (Salon „Budexpo"), tel. 40 46 74 w. 244
- Wrocław, ul. Oławska 2, tel. 44 46 93
- Kraków, ul. Mickiewicza 31, tel. 33 66 84

Ponadto oferujemy:

okna dachowe obrotowe ● wywietrzniki dachowe ● płyty dachowe ocieplające ● sklejkę wodoodporną ● folię izolacyjną ● wykładziny gumowe (garażowe, tarasowe) ● wykładziny dywanowe ● armaturę łazienkow

oraz **uniwersalne kioski handlowe**

● wykonywanie dachów wentylowanych i renowację dachów płaskic

Montaż układanie — **Triada** — 10 lat gwarancji

90-430 LODZ-POLAND – Zamenhofa 1/3 str.
phone 32 66 82 fax 37 29 94 tlx 884479

STAWIAMY NA JAKOŚĆ

Mikrokomputery Pc 286, 386, 486, dyskietki HD

Dla koneserów oryginalne płyty 386 INTEL'a ceny promocyjne

Drukarki SEIKOSHA, STAR, HEWLETT PACKARD
Instalacja sieci NOVELL. Oprogramowanie
Listwy przeciwzakłóceniowe 10 Amp, 5 gniazd – 250.000,–zł
Świadczymy kwartalne konserwacje sprzętu minikomputerowego.
P.Z. „RODAN", ŁÓDŹ, ul. Szparagowa 6/8, tel. 52-40-68, tel. i fax 52-10-07 tlx 886103 rodan pl.

HURTOWNIA EXPORT-IMPORT

RITEX®

Łódź ul. Rzgowska 2a — *tel. 84-52-26, 81-50-93*

POLECA:

1. *Odzież (bluzki, swetry, skarpety)*
2. *Zabawki*
3. *Wózki z pozytywkami – 2 rodzaje*
4. *Papier ozdobny (folia)*
5. *Biżuterię*
6. *Dzianiny krajowe*
7. *Inne wyroby z: Korei, Chin, Turcji, RFN, Szwecji*

Zapraszamy w godz. 8.00-18.00

Życzymy udanych zakupów

Zakłady Przemysłu Pończoszniczego „SANDRA"

Aleksandrów Łódzki
ul. Piotrkowska 10/12
tel. 12-10-30, 12-17-24, 52-22-17

oferują do sprzedaży:

w szerokiej gamie wzorniczo-kolorystycznej
● skarpety ● podkolanówki ● rajstopy z bawełny, anilany, elastilu.

ZAPRASZAMY do zakupów w sieci własnej:

ALEKSANDRÓW ul. Piotrkowska 10/12
ul. Wojska Polskiego 64, tel. 12-17-27
KUTNO, al. ZHP 8
KOŚCIAN, ul. Wrocławska 3a
POGORZELICA k. Trzebiatowa woj. szczecińskie – OWS „SANDRA"

POZNAŃ, ul. Piątkowska tel. 23-87-23
TORUŃ, ul. Fałata 35/37

POSZUKUJEMY:

✶ lokali na sklepy firmowe o pow. do 80 m²
✶ akwizytorów

SOBOTA
6 lipca
PROGRAM 1

7.00 W sobotę rano
7.45 Tydzień na działce
8.15 Piłkarska kadra czeka
8.35 Ziarno
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
10.25 Na zdrowie
10.45 Wojskowy program dokumentalny
11.10 Z Polski rodem
11.40 Wędrówki dalekie i bliskie – film dokumentalny
12.20 Koncert roku. – Laureaci festiwali i konkursów muzycznych
13.50 Koncert galowy Dziecięcego Festiwalu Piosenki i Tańca
14.40 Siódemka w Jedynce
15.30 „Niemcy 1990: Bez muru" – serial dok. prod. niemieckiej
16.30 Opoka – program redakcji katolickiej
16.45 Flesz
17.15 Teleexpress
17.35 Studio sport – koszykówka zawodowa
18.30 W kinie i na kasecie
18.55 Z kamerą wśród zwierząt
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Co do grosza" (2-ost.) – film fab. prod. ang.
21.40 Sportowa sobota
21.55 Opole 91 – turniej kabaretów (2)
22.55 Wiadomości wieczorne
23.25 „Oko za oko" – film kryminalny produkcji USA (r. prod. 1981 – 106 min.) reż.: Steve Carver, wyk.: Chuck Norris, Christopher Lee, Richard Rundtres

PROGRAM II

10.00 CNN
10.15 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.40 „Sekretny dziennik Adriana Mole'a" – serial
11.05 Tacy sami – program w języku migowym
11.25 Dookoła świata
11.55 Konkurs 5 milionów
12.25 Kabaret Frisco
13.25 VI Gdańskie Spotkania Gitarowe
13.55 Zwierzęta świata
14.25 Ze wszystkich stron
14.55 Program dnia
15.00 „Zezem" – serial TP
15.30 „Santa Barbara"
17.00 Studio tajemnic
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Wielka gra
19.30 Galeria 38 milionów
20.00 Karol Szymanowski w twórczości i życiu
21.00 Hale i Pace
21.30 Panorama dnia
21.45 Słowo na niedzielę
21.50 „Linia mety" – film fabularny produkcji angielskiej
23.25 CNN

NIEDZIELA
7 lipca
PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Kraj za miastem
7.55 Po gospodarsku
8.10 Od niedzieli do niedzieli
8.55 Program dnia
9.00 Teleferie
10.10 Żeglarska formuła I
10.30 „Przygody roślin" (4)
10.55 Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi
11.20 Wojskowy program publicystyczny
11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.15 Circom Regional prezentuje...
12.45 Magazyn Morze
13.05 Koncert galowy Dziecięcego Festiwalu Piosenki i Tańca – Konin 91 (2)
13.50 Studio sport – koszykówka zawodowa
15.00 Z archiwum Teatru Telewizji – Edmond Rostand „Cyrano de Bergerac"
16.50 Telewizjer
17.15 Teleexpress
17.30 Chwila wspomnień
18.00 Film dokumentalny
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Miliarderka" (1) – serial produkcji francuskiej, reż. Jacques Ertrand, wyk: Nicole Courcel, Judith Magre
21.35 7 dni – świat
22.05 Sportowa niedziela
22.25 Wiadomości wieczorne
22.45 „Rewizja nadzwyczajna" – program Dariusza Baliszewskiego (Biali kurierzy)

PROGRAM II

11.40 „Getto" – relacja ze spektaklu w Teatrze Nowym w Poznaniu
12.00 Mistrzowie współczesnego kina
12.30 Express Dimanche
13.00 Polska Kronika Filmowa
13.10 100 pytań do...
13.50 „Przyłbice i kaptury" (2)
14.50 Studio sport
15.05 Połowy na rzece wspomnień (7)
15.45 Program muzyczny
16.05 Podróże w czasie i przestrzeni
17.00 Program dnia
17.05 Studio sport
17.30 Bliżej świata
18.30 Recital Jolanty Kaczmarek
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Tygiel – zagraniczny magazyn kulturalny
20.00 Barbara Hendricks w Warszawie
21.00 Ya-hozna-dont – recital zespołu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Teresa Raquin" (2)
22.45 Róbmy swoje
23.45 CNN

PONIEDZIAŁEK
8 lipca
PROGRAM I

16.55 Aktualności telegazety
17.00 LTV – lato w telewizji
17.15 Teleexpress
17.30 LTV – lato w telewizji
18.00 „Alf" – serial prod. USA
18.25 LTV – lato w telewizji
19.15 Dobranoc „Przygody Bolka i Lolka"
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji – Spektakl na bis – Gyorgy Spiro „Szalbierz", reż. Tomasz Wiśniowski, wyk.: Tadeusz Łomnicki, Jan Peszek, Jerzy Gralek, Anna Dymna, Iwona Bielska, Jerzy Bińczycki, Olaf Lubaszenko, Jan Nowicki
21.55 „Ach panie, panowie" – program Piotra Lazarkiewicza z udziałem Jana Nowickiego, Anny Szalapak i Grzegorza Turneu
22.30 Wiadomości wieczorne
22.50 „Alf" – serial produkcji USA (wersja oryginalna)
23.15 BBC – World service

PROGRAM II

16.45 Powitanie
17.00 Czas akademicki – katolicki magazyn młodzieżowy
17.30 „Cudowne lata" (8) – „Nasza pani White" – serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd kronik filmowych
19.00 Ojczyzna – polszczyzna: Etymologiczne pułapki
19.15 Zapraszamy do Dwójki
19.30 Śpiewa Janusz Borowicz
20.00 Cocktail personalny
20.30 Reduta – program studyjno-filmowy
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Tan Sitong" (2) – film fabularny produkcji chińskiej
23.05 Rozmowy o cierpieniu
23.20 CNN

WTOREK
9 lipca
PROGRAM I

8.00 Poranny magazyn rozmaitości
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie najmłodszych ze smokiem
9.35 Kino teleferii
10.00 „To się może przydać" – magazyn dla pań
10.25 „Matyas Sandor" (2) – serial prod. węg.-franc.
11.20 Aktualności telegazety
17.00 LTV – lato w telewizji
17.15 Teleexpress
17.30 LTV – lato w telewizji
18.00 „Alf" – ser. prod. USA
18.25 LTV – lato w telewizji
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Mefisto Walc" – film produkcji polskiej
21.05 Telemuzek – magazyn muzyki rozrywkowej
21.45 „Poszukiwany Zdzisław Najmrodzki" – reportaż Tomasza Orlicza
22.40 Wiadomości wieczorne
23.00 „Alf" – serial produkcji USA (wersja oryginalna)
23.25 BBC – World Service

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język angielski (3)
8.40 „Santa Barbara" – ser.
9.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach – reportaż
16.45 Powitanie
17.00 Archiwum Neptuna – „Powrót na Falklandy"
17.30 „Cudowne lata" (9) – „Boże Narodzenie" – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Seans filmowy
19.30 Z ziemi polskiej
20.00 Non stop kolor
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.20 Magazyn przechodnia
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Przygody Sherlocka Holmesa" – film fabularny produkcji angielskiej (80 min.)
23.15 CNN

ŚRODA
10 lipca
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
9.35 Kino teleferii
10.00 Przyjemne z pożytecznym
10.25 „Dynastia"
11.25 Aktualności telegazety
17.00 LTV – lato w telewizji
17.15 Teleexpres
17.30 LTV – lato w telewizji
18.00 „Alf"
18.25 LTV – lato w telewizji
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Dynastia" (91)
20.55 Zespół publicystyki „Zapis" przedstawia program z cyklu „Petenci"
21.25 Kabaret Starszych Panów – Piosenka jest dobra na wszystko
22.55 Wiadomości wieczorne
22.45 „Alf" – serial produkcji USA (wersja oryginalna)
23.10 BBC – World service

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język angielski (4)
8.40 „W labiryncie" (5,6)
9.30 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach – reportaż
16.45 Powitanie
17.00 Magazyn ekologiczny
17.30 „Cudowne lata" (10)
18.00 Program lokalny
18.30 „M.A.S.H." (9)
19.00 Kadr – teleturniej filmowy
19.30 Muzyka Chopina w Żelazowej Woli
20.00 Powrót Czyngis-Chana – reportaż
20.30 Wielka szansa małego teatru
21.00 Camerata 2 przedstawia
21.30 Panorama dnia
21.45 Przegląd sejmowy
22.00 „Dziewczyna z Mazur" (2) – serial TP
22.55 Sport
23.05 Telewizja nocą
23.50 CNN

CZWARTEK
11 lipca
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Kino teleferii
10.10 Po sześćdziesiątce
10.30 „Van der Valk" (1) – serial krym. prod. angielskiej
12.15 Aktualności telegazety
17.00 LTV – lato w telewizji
17.15 Teleexpress
17.30 LTV – lato w telewizji
18.00 „Alf" – serial USA
18.25 LTV – lato w telewizji
18.50 Magazyn – katolicki
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Van der Valk" (1) – serial krym. prod. angielskiej
21.50 Gość Andrzeja Zarębskiego
22.05 Pegaz
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 Jakim prawem?
23.35 „Alf" – serial produkcji USA (wersja oryginalna)
24.00 BBC

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język angielski (5)
8.40 „Santa Barbara" – serial produkcji USA
9.25 Teleklinika doktora Anatolija Kaszpirowskiego
9.45 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach – reportaż
16.45 Powitanie
17.00 Teleklinika doktora Anatolija Kaszpirowskiego
17.30 „Cudowne lata" (11) – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 „Pod wspólnym dachem" (2) – serial produkcji francuskiej
19.00 Magazyn 102
19.30 Z ziemi polskiej
20.05 Studio sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Studio teatralne Dwójki – Jerzy Gierałtowski „Wakacje kata"
23.05 CNN

PIĄTEK
12 lipca
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
9.40 Kino teleferii
10.00 Szkoła dla rodziców
10.25 „Janosik" (2) – serial TP
11.10 Aktualności telegazety
17.00 LTV – lato w telewizji
17.15 Teleexpress
17.30 LTV – lato w telewizji
18.00 „Alf" (ost.) – serial produkcji USA
18.25 LTV – lato w telewizji
19.00 Express gospodarczy
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Miasteczko Twin Peaks" (11) – serial prod. USA
21.00 Weekend w Jedynce
21.10 Zespół „Zapis" przedstawia
21.50 Haich life – program rozrywkowy
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 Siódemka w Jedynce
23.40 „Alf" (ost) – serial produkcji USA (wersja oryginalna)
00.05 BBC – World service

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język angielski (6)
8.40 „W labiryncie" (7, 8) serial TP (powtórzenie)
9.30 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach – reportaż
16.45 Powitanie
17.00 Opowieść o mieście
17.30 „Cudowne lata (12) – serial produkcji USA
18.00 Program regionalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Nie zawsze musi być kawior" (1) – „Jak się wszystko zaczęło" – serial produkcji niemieckiej (r. prod. 1977 – 58 min.) reż. Thomas Engel, wyk.: Siefried Rauch, Nadja Tiller, Herbert Fleischmann
22.55 Obrazy, słowa, dźwięki – program o sztuce
23.55 CNN
01.10 Noc z anteną 5 – program nocny z Wrocławia

RESTAURACJA „LOTNICZA"

Przyjęcia weselne i okolicznościowe

Łódź, ul. Pabianicka 169
☎ 84 77 92 lub 48 26 46
zakład czynny od 10 do 21

AUTO SERWIS MAREDI MB sc.

zaprasza do swoich zakładów

Zakład nr 1
Łódź, ul. Strykowska 33/43
tel. 55-56-55

- Naprawy Fiat 126p (autoryzacja)
- Blacharstwo
- Lakiernictwo
- Diagnostyka
- Przeglądy rejestracyjne

Zakład nr 2
Łódź, ul. Wieniawskiego 70a
tel. 48-73-84

- **PROWADZI SPRZEDAŻ SAMOCHODÓW FSM – Fiat 126p za gotówkę i na raty**
- Sprzedaż części zamiennych Fiat 126p
- Myjnia samochodów
- Komis i wypożyczalnia samochodów
- Holowanie

Hurtownia Artykułów Spożywczych

„JAM"

Łódź, ul. Wólczańska 143
tlx 885573 tel. 36-78-63
tel. po godz. 21⁰⁰ 72-89-09

oferuje

z bezpośredniego importu w sprzedaży hurtowej:

- owoce
- warzywa
- przetwory
- artykuły spożywcze
- wyroby cukiernicze

Łódzkie Biuro Ogłoszeń i Reklamy „Epoka"
przyjmuje ogłoszenia do
„ODGŁOSÓW"
oferuje także reklamę prasową w następujących tytułach:
Kurier Polski, Rzemieślnik, Gazeta Targowa, Gazeta Aukcyjna, Witryna Gospodarcza, Informator Turystyczny, Sukces.

✻ Leszek Miller (SdRP) wezwał na pojedynek Stefana Niesiołowskiego (poseł, ZChN). Ma to być pojedynek na argumenty. Ziemię udeptaną ma zastąpić studio telewizyjne. Tylko czy się prezes Marian Terlecki zgodzi?

✻ Tymczasowy kierownik Przedsiębiorstwa Kolportażowo- Handlowego „RUCH" – Jacek Dębski zwołał konferencję prasową, aby powiadomić dziennikarzy o zmianach, jakie mają nastąpić w kolportażu prasy. Największą sensację zgotował zebranym tygodnik „NIE", który opublikował tekst pisma Jacka Dębskiego do wszystkich dyrektorów PUPiK „RUCH" z poleceniem, aby **nakazali kioskarzom zwrócenie szczególnej uwagi na „kolportaż i właściwą ekspozycję n/wym. tytułów: „Tygodnik Centrum", „Najwyższy Czas", „Polityka Polska", „Przegląd Polityczny", „Ład", „Tygodnik Solidarność", „Stańczyk"**. Pismo to zaleca dyrekcjom „RUCH" w całej Polsce, aby szybko i sprawnie informowali wydawców o sprzedaży wymienionych tytułów, wytypowanie kiosków „zlokalizowanych w dużych i średnich aglomeracjach", które eksponowałyby, wymienione tytuły w „widocznym dla klienta miejscu". Autor pisma nie ukrywa, że zabiegi te są szczególnie ważne „w kontekście czekających nas wyborów parlamentarnych". Pismo to przypomina nam dawne „dobre" metody, gdy tenże „RUCH" miał polecenie eksponowania i preferowania tytułów, które miały mieć szczególne znaczenie z różnych powodów. Były to tytuły prasy PZPR. Z tego też powodu ograniczano nakłady innych pism. Jak z powyższego widać „stare wraca" i ma się zupełnie dobrze.

✻ ZJM komentuje:
Gdy zewsząd podnosi się lament,
Gdy jutra niepewni żyjemy,
Łatwo rozwiązać parlament,
Trudniej – rozwiązać problemy.

✻ W Polsce od dawna nie ma już cenzury i wszyscy mówią, że są niezależni. Tymczasem z zupełnie niezrozumiałych powodów relacje ze spotkania prezydenta Lecha Wałęsy w warszawskiej „Polfie" nadane przez telewizyjne „Wiadomości", Program III Polskiego Radia i BBC różniły się radykalnie. Wprawdzie Monika Olejnik w Programie III PR swoją audycję nazwała: „Wycisk w Polfie", ale BBC nadało relację obszerniejszą i bardziej obiektywną. Zupełnie nie możemy zrozumieć, dlaczego tak się dzieje? Jakieś krasnoludki, czy co?;

✻ W Łodzi Liga Morska zorganizowała puszczanie wianków. Morze zastąpił staw. Tylko wianki były prawdziwe.

✻ Dwie przedsiębiorcze i energiczne panie wynajęły pawilon na Żubardziu za 50 milionów zł. Rozpoczęły sprzedaż artykułów spożywczych. Handel szedł licho. Sto metrów dalej jest targowy plac. Panie wzięły stolik i wyszły do klienta na targowisko. Obroty dzienne wzrosły czterokrotnie. Oto, co znaczy mieć dobry pomysł! Tylko po co te 50 milionów?

✻ Zabawa w zmiany nazw ulic trwa. W Jarocinie ulicę Polskiego Czerwonego Krzyża zamieniono na Gołębią. W Bytomiu ulicę Żabińskiego na Szczęść Boże. W Łodzi jest też wiele do zrobienia. Jak długo jeszcze będzie istniała ulica Czerwona? Furda tradycja! Precz z niesłusznym kolorem!

✻ Szybko zbliżamy się do Europy, a nawet Ameryki. Mamy już mafię, która kontroluje targowiska i pobiera opłaty za to, aby nikt nie okradał i nie niszczył straganów i budek. Mafia pobiera też opłaty od przybyszów ze Wschodu, którzy za spokojne handlowanie opłacają się w naturze, wódką i koniakami.

✻ Handlujący na targowiskach płacą też oficjalne stawki za korzystanie z miejsca do handlowania. Na przykład handlujący na Czerwonym Rynku (niedopatrzenie! Proponujemy zmienić nazwę na Niebiański Rynek) skarżą się, że nikt nie sprząta placu i nie ma tam w pobliżu sanitariatu.

✻ „Totalny burdel" – powiedział „Expressowi Ilustrowanemu" Janusz Włodarski, trener płotkarza Tomasza Nagórki. Proszę się jednak nie denerwować. Janusz Włodarski miał na myśli tylko porządki panujące w AZS.

✻ Czytelnika „Gazety Łódzkiej" oburzył reportaż z balu łódzkich kapitalistów emitowany przez łódzką telewizję w ŁPS. „Afiszowanie się swoimi – oświadczył ten czytelnik – nie wiadomo jak zdobytymi pieniędzmi, w sytuacji, gdy robotnicy odbierają 600-tysięczne głodowe pensje, jest oburzające". No, cóż! Kapitaliści też ludzie i mają za co się bawić. Biednym pozostają zupki Jacka Kuronia, współczucie oraz modły o miłosierdzie.

✻ Toczy się walka o mienie po zlikwidowanych przedszkolach: 38 pianin, 23 telewizory, 97 lodówek, pościel, meble, sprzęt kuchenny. Część z tego dostaną istniejące przedszkola, o resztę ubiegają się różne organizacje młodzieżowe i społeczne. Trwa też walka o lokale po zlikwidowanych przedszkolach. Jak to łatwo powiedzieć: – zlikwidować!

✻ Z Krakowa donoszą, że zabrakło tam miejsca na zorganizowanie 22 Międzynarodowego Salonu Fotografii Artystycznej Akt i Portret „Venus 91". I słusznie! Po co bowiem w dostojnym grodzie takie bezeceństwa, skoro w każdym kiosku można sobie kupić gruby zeszyt pełen rozebranych panienek? Że to ze sztuką nie ma nic wspólnego? Kogo to obchodzi? Grunt, że moralność nie dozna szwanku. Przynajmniej w Krakowie.

B.M.

CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Po co ten wrzask?

Także „Odgłosy" przyłączyły się do chóru potępień Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego. Nawet mnie to nie dziwi, w grupie jakoś raźniej, a przecież i cel zbożny: obrona etosu „Solidarności". Tylko jak można bronić czegoś, czego już dawno nie ma, komunistyczny wyścig pracy został zastąpiony solidarnościowym wyścigiem po posady. Nie jest to może piękne, ale bardzo ludzkie.

Szkoda, że sam Słowik wystraszył się tego, co zrobił i zapowiada założenie jakiejś fundacji, jakby pieniądze uzyskane z odszkodowania parzyły mu ręce. Miałbym do niego więcej szacunku, gdyby wytrwał w dochodzeniu swych racji bez przywieszania listków figowych. Nie trzeba bać się głosu tak zwanej opinii, czasem warto mu się przeciwstawić, aby pokazać, że król jest nagi.

Przyznam się, że nie rozumiem, po co ten wrzask, może to temat zastępczy. Jeśli chcemy rzeczywiście chronić skarb państwa, to nie żerujmy na krzywdzie jednostek, raczej dopilnujmy, aby wpływały do niego należne pieniądze. Na aferze wódczanej straciliśmy jako społeczeństwo biliony złotych. Złodzieje podatkowi uniknęli odpowiedzialności, wszystko jakoś rozeszło się po kościach. Kolejne afery celne wskazują wyraźnie, gdzie są przecieki i znowu nic. Nie zamierzam wystawiać prezydentowi Wałęsie rachunku za rozrzutność w Londynie, ale czy nie można trochę skromniej? Albo ostatnia wizyta Ojca Świętego: witajmy Jana Pawła II chlebem i solą, bo to są symbole staropolskiej gościnności, wystrzegajmy się jednak kosztownej i niepotrzebnej pozłoty, bo na to naprawdę nas nie stać. Papieżowi pewnie byłoby przyjemniej, gdyby dostrzegł mniej blichtru, mniej pompy i pychy, które nie licują z wartościami ewangelii. Czy podczas sierpniowej wizyty pielgrzyma z Rzymu wszystko powtórzy się od początku? Czy znowu zakupimy amerykańskie helikoptery?

Czy wzniesiemy jeszcze kosztowniejsze dekoracje?

Czasem odnoszę wrażenie, że przez ludzi przemawia zwykła zawiść. Odszkodowanie jakie uzyskał Andrzej Słowik, to cena jednego średniego samochodu. Znam ludzi, którzy wcale nie cierpieli, dorobili się w ostatnich miesiącach, nie zawsze legalnie i niekoniecznie sprawiedliwie. Tym dopiero musi być wesoło.

A więc, panowie dziennikarze, nie ośmieszajcie się!

Hilary Błaszczyk, Łódź

Chyba strzelę sobie w łeb!
(List otwarty do głowy państwa)

Drogi Panie!

Znudziło mnie życie w tym kraju. Odeszły ode mnie wszystkie ideały, nawet te,które jeszcze nie przyszły. Dla ojczyzny zasłużyłem się w roku pańskim 1980. Wcześniej nie miałem okazji, a to z powodu tak młodego wieku. W tych oto latach przebijałem milicjantom opony podczas uroczystości pierwszomajowych i rozrzucałem ulotki. Największym moim osiągnięciem był areszt 48-godzinny (zupełnie wystarczający na moją tężyznę fizyczną). Blado wypadłem na tle całej opozycji, dlatego też nie otrzymałem żadnej funkcji społecznej. Sądzę jednak, że przyszedł czas rekompensat, więc domagam się odszkodowania w wysokości co najmniej 2 mln złotych polskich za poniesione krzywdy moralne i cielesne wynikłe z owego 48-godzinnego przesłuchania. Będzie to zabezpieczeniem materialnym dla mojej żony i dziecka na wypadek samobójstwa jedynego żywiciela rodziny. Pragnę również dodać, że cena drewna wciąż rośnie, ksiądz za darmo nie chowa, a miejsce kosztuje.

MOMENT KRYTYCZNY PRZED STRZAŁEM

Położyłem pistolet na stole. Nie mogę z nikim porozmawiać, każdy mnie się boi – żywy trup – to rzecz najbardziej odrażająca. Biegnę wśród tłumu, nagle jakiś ciemnoskóry robotnik w gumofilcach wręcza mi ulotkę: „Tygodnik Mazowsze" nr 53 (26.V.83). Wszyscy krzyczą: „Solidarność nie da się podzielić ani zniszczyć". Aż ciemno od pochodni, stearyna wtapia się w oczy, idzie

KONDUKT

...za trumną martwego Grzesia
idzie żywy Grześ
podtrzymuje matkę ramieniem
.....
Idzie Grześ w gipsowym mundurze
nie nadąża za sobą
kruszy biel westchnieniem
zostaje
w pojedynczej męce i śmierci.

Ja, przywódca – Andrzej Słowik, wnoszę pozew do sądu o odszkodowanie w postaci 400 mln złotych. Przecież nie za darmo siedziałem! Wobec tego pytam szanownych obywateli, jakie odszkodowanie należy się rodzinie Przemyka? Państwo biedne, ale za idee musi płacić. Ciekaw jestem tylko, z czyjej kieszeni – Wojciecha Jaruzelskiego czy Lecha Wałęsy? Brawo, Panowie! Dobrze się bawimy, a że robotnik głupi to batem go w łeb i do pracy.

Oto „niepodzielni" stajemy się podzielnymi, „niezniszczalni" – zniszczalnymi. Demokracja – wielkie słowo. Najlepiej otumanić naród hasłami „byliśmy, jesteśmy, będziemy" – oczywiście solidarni. Nie, moi bracia, komunizm się nie skończył, komunizm trwa, tylko my jesteśmy głupcami historii, nie widzimy prawdziwej substancji, jedynie formę, którą przybiera. Dla nas ważne są symbole. Czy orzeł ma być w takiej czy innej koronie? Czy jesteś za, czy przeciw aborcji? Czy twój plemnik wszedł do macicy, czy stanął na jej skraju? Czy miłość francuska to nie ludobójstwo? Naród musi być podzielony, inaczej nie można go okiełznać. Musi mieć swoje problemy doczesne i być karmiony doczesną biedą. Bo jak wielkim rajem po wielkim ubóstwie staje się niebo! Wreszcie osiągnęliśmy narodową dumę – w sklepach mamy banany. Panowie szlachta, jazda w rozpasanie, a że kmiotkowie pod lipę nas prowadzą – to szczegół. W cieniu zawsze bezpieczniej. Granice na Zachód otwarte i cenzura zniesiona. Sza... bo ksiądz się dowie albo związkowiec i tylko pieśń pozostanie „żegnaj posado"...(...).

Andrzej Arczewski

Bestseller roku

BESTSELLER ROKU – oto miano nagrody w dziedzinie literatury faktu, którą ustanawiają niniejszym **Fundacja Verbum** i redakcja miesięcznika **„Bestseller"**. Nazwa – tak w przypadku miesięcznika, jak i nagrody – jest przewrotna. Idzie bowiem nie wyłącznie o dzieła, które „się dobrze sprzedają" (bo w tym przypadku nagrody funduje rynek), lecz o te zwłaszcza, które „dobrze sprzedają" istotne wartości i treści.

„Dobrze sprzedają" – w tym określeniu zawiera się przede wszystkim pochwała umiejętności, pochwała warsztatu. Jest więc rzeczą jasną, że chcemy honorować te dzieła literatury faktu, które będą również faktem artystycznym. Ale w pojęciu „warsztatu reportera", „warsztatu dziennikarza" mieści się coś więcej – dociekliwość, pasja zbierania informacji, odwaga dochodzenia do prawdy, dokumentowania tej prawdy. Wiemy, że są to kryteria na poły już tylko warsztatowe. To są również kryteria etyczne.

Warszat. Artyzm. Etyka.

Ale czemu mają służyć?

Na pewno nie ideologiom, propagandzie, obozom, partiom. Mają służyć człowiekowi. Ludziom. Bez względu na kolor skóry, przekonania i miejsca pobytu na tej ziemi. Na Tej Ziemi.

BESTSELLER ROKU 1991 – ?

Czy – poza tym wszystkim, co było powiedziane wyżej – będzie również bestsellerem przyszłości? Czy ją odczyta? Czy w tym, co działo się wczoraj, dzieje się dzisiaj, odczyta szyfr faktu przyszłego?

Pragniemy, aby tak było.

Redaktor Naczelny „Bestsellera" **(Marek Miller)**
Prezes Fundacji Verbum **(Zdzisław Jaskuła)**

✻ ✻ ✻

Wyciąg z regulaminu

Celem konkursu jest wyróżnienie pracy – książki lub publikacji prasowej – z zakresu literatury faktu (reportaż, wywiad, dziennik, pamiętnik, artykuł publicystyczny...), opublikowanej w kraju lub poza krajem w języku polskim. Organizatorom szczególnie zależy na tekstach posiadających dużą wagę społeczną, przynosząc nową wiedzę o rzeczywistości (czy wręcz ją kreujących), charakteryzujących się nie tylko odkrywczością, ale i bezkompromisowością w docieraniu do źródeł informacji, a także wysokim poziomem artystycznym.

Propozycje (nazwisko autora wraz z tekstem) należy nadsyłać pod adresem redakcji miesięcznika **„Bestseller"**, ul. Piotrkowska 189/191, 90-447 Łódź – **do dnia 30 września 1991 r.** Tegoroczna nagroda obejmie wyjątkowo publikacje, które ukazały się w latach 1990-91.

Fundatorem Nagrody, której wysokość stanowić będzie suma nie mniejsza niż roczna przeciętna pensja krajowa, jest **Fundacja Verbum.**

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagrody odbywać się będzie jesienią każdego roku, podczas Festiwalu Mediów w Łodzi.

Zaproszenie do jury konkursu na „Bestseller Roku" przyjęli najznakomitsi polscy reporterzy: **Hanna Krall, Ryszard Kapuściński i Krzysztof Kąkolewski**. Sekretarzem jury będzie **Zbigniew Dominiak.**

„Sprawa Burego"

W związku z opublikowaniem w tygodniku „Odgłosy" z dnia 16 czerwca br. nr 4 artykułu pt. „Sprawa Burego", pragnę wyjaśnić dodatkowo kilka spraw.

Zakład Ubezpieczeń Społecznych nie jest upoważniony do oceny przyczyn aresztowania i więzienia Polaków mieszkających swego czasu na obszarze ZSRR. Przyjęte uregulowania prawne ustalają, że na wniosek zainteresowanego prezes Sądu Wojewódzkiego wydaje po rozpatrzeniu sprawy zaświadczenie do celów emerytalno-rentowych, w którym stwierdza czy skazanie i więzienie przez władze radzieckie było związane z przyczynami politycznymi.

Takie rozwiązanie, przyznaję, bolesnego problemu, jest moim zdaniem słuszne i prawidłowe. Wyklucza dowolność w interpretacji dokumentów niejasnych i często cząstkowych, w których jako podstawę skazania podaje się kolejne artykuły kodeksu karnego, bez uzasadnienia. Rozstrzygnięcie sprawy przez prezesa Sądu Wojewódzkiego jest dla ZUS wiążące.

Natomiast wniosek-postulat, aby ZUS zwracał się do odpowiedniej instytucji radzieckiej z pytaniem czy pobyt w więzieniu lub obozie pracy określonej osoby był spowodowany przyczynami politycznymi, wydaje się być nierealny.

Pragnę Pana poinformować, że w dniu 19 czerwca br. otrzymaliśmy zaświadczenie z Sądu Wojewódzkiego, gdzie się stwierdza, że uwięzienie i pobyt w obozie pracy od dn. 24 sierpnia 1951 r. do 1 września 1954 r. Pana Włodzimierza Burego było związane z przyczynami politycznymi.

Pozwoli to obecnie łódzkiemu Oddziałowi ZUS na zaliczenie tego okresu do zwiększenia stażu pracy, od którego zależy wysokość świadczenia emerytalnego. Pragnę Pana zapewnić, że czyniliśmy wszystko, aby sprawa znalazła swoje pomyślne zakończenie.

Przyznaję Panu słuszność, że jeżeli dojdzie do skutku kolejna fala emigracji polskiej z ZSRR, spraw takich jak Burego może być bardzo dużo.

Na obowiązujące w tym zakresie uregulowania prawne Oddział ZUS nie ma wpływu.

Z poważaniem
dyrektor ZUS Oddział w Łodzi
mgr Kazimierz Zieliński

Pytania do A. Kaszpirowskiego

– na wyłączność „Odgłosów"

– Czy bywa pan chory i kto wtedy pana leczy?

– Nie chcę mówić o sobie, unikam tego. Mogę tylko powiedzieć, że wielcy uzdrowiciele nie bywają wielkimi pacjentami. Nie chciałbym tutaj nazywać siebie wielkim uzdrowicielem, ale takim maleńkim, też nie jestem. W każdym razie to, że ja dobrze leczę innych nie oznacza, że równie dobrze mogę leczyć siebie. To są zupełnie różne rzeczy. Poza tym, leczenie zależy od biochemii człowieka i stopnia jej pobudzenia. Ja np. mogę swoim wyglądem wywołać u kogoś gniew, ale we mnie nie będzie gniewu na siebie samego.

– Czy leczy pan swoich najbliższych?

– Bywa, że tak. Nie jestem pod tym względem odosobniony. Uważam, że pozytywne działanie na swoich bliskich jest najwyższym stopniem działania. Jeśli ktoś potrafi działać na bliskich, jeszcze lepiej zadziała na ludzi obcych. Gdyż bliscy są blisko, a im bliżej – tym dalej.

– Gdyby pan zachorował, czy poszedłby pan do kogoś takiego jak pan?

– Ileż ja się nachorowałem w moim życiu. Chorowałem często, ale nigdy nie zwracałem się z tym do nikogo. A czy bym poszedł sam do siebie? Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. Może bym poszedł, a może nie. Zależy, na co bym chorował.

– Czy patrząc na człowieka wie pan od razu na co jest chory?

– Względnie. Są takie choroby, które można od razu bezbłędnie rozpoznawać. Wynika to z lekarskiego doświadczenia, z przypomnienia sobie podobnych przypadków. Wiadomo, że łatwo jest rozpoznać chorego na wrzody żołądka, podwyższone ciśnienie, wątrobę, schizofrenika, epileptyka. Ale najczęściej choroby są ukryte, niewidoczne.

P.S. **Korespondencję do dr. A. Kaszpirowskiego prosimy nadsyłać pod adresem redakcji. Wśród nadsyłających listy co tydzień rozlosowana będzie kaseta z nagraniem seansu doktora. Prosimy o dokładne podawanie adresu!**

Jedno danie Anny-Marii

O wyższości ziemniaka nad kaszą

Ioto znowu lato. Ta najbardziej oczekiwana pora roku: czas zasłużonego po dwunastu miesiącach pracy odpoczynku. Dnie beztroskich wakacji, podczas których zostawiasz za sobą smród rozgrzanego upałem miasta, jego trujący wyziewami spalin ołowiowy oddech; jego decybele: zgrzyty, szumy, trzaski, poświsty, wycia karetek i pijaków, piski hamulców; tłok w tramwajach i odór niedomytej pachy, co to akurat nad twoją głową zawisła; zatęchłą duchotę własnego mieszkania blokowego z jego gratami, tak ci obeznanymi, że już ich szpetoty nie dostrzegasz; ulice, zawsze te same, którymi tam i z powrotem, tam i z powrotem przez pięć dni w tygodniu, cztery tygodnie w miesiącu, czterdzieści osiem tygodni w roku gnasz do roboty i z roboty; własnego życia wyznaczonego tymi samymi czynnościami, tymi samymi drogami; życia odtąd – dotąd, a jeśli już mały kroczek na boczek, to co za odmienność, jakie święto. Więc na urlop. Odpocząć. Polenić się. Odprężyć. Zrelaksować. Odstresować się. Nabrać sił. Zdrowia, głównie psychicznego. Zapomnieć o tym, czego ci brakuje. I o tym, czego pragniesz, a czego nigdy nie otrzymasz. To jak azyl ten urlop. Eden. Raj. Ucieczka od żmudnej rzeczywistości w plener, nad wodę, w góry. Po zapach lasu, który do miast nie dociera. Po ciszę, przetykaną cykaniem świerszczy. Po to jedyne w roku lato, w którym:

„...Ciemność zielona w świerkach.
Szałwia. Zajęczy szczaw.
Niebo obłoki zdejmuje. Ptak zerka.
Trzmiele brzęczą wśród traw.
Motyle żółte i białe jak latające listy
A tam dalej i dalej, za tym pagórkiem piaszczystym
Też jest lato..."

Piaszczysty pagórek, za którym jest lato Konstantego Ildefonsa, oddalił się na antypody. Dla tysięcy zwykłych i szarych zjadaczy chleba od pierwszego do pierwszego polskie lato 91' stało się równie odległe i nierealne jak rafy koralowe u wybrzeży Australii. Już lipiec, czas urlopowy, a jaki wciąż ruch na ulicach miasta. Ongiś, jeszcze nie tak zupełnie dawno, nawet na Piotrkowskiej o tej porze lipca przerzedzały się chodniki, człowiek nie musiał skrobać przechodniom po piętach marchewek. Samochodowy ruch malał na ulicach, za to nasilał się na szosach nie tylko przed weekendami. Tłumy z obłędem w oku szturmowały po dworcach pociągi. Teraz szosy nostalgicznie pustawe, do Ełku i w „dwójce" miejsca siedzące.

W zeszłym roku uważając, że już gorzej być nie może, że to owo dno właśnie, smędziłam rzewnie, iż nie stać mnie na mazurskie wakacje i muszę lądować w Swędowie pod Łodzią, gdzie działka obok działki i działką pogania, zaś na leśnej drodze ruch niczym na molo sopockim. Dziś do Swędowa piechotą bym szła, żeby mnie tylko było stać na wynajęcie tam pokoju. Ale nie stać. Co się wydaje tym dziwniejsze, że w tych wymienialnych obecnie, mocnych złotówkach zarabiam dwa razy tyle.

Na wakacje pojechał więc wyłącznie syn. W charakterze „doczepki" zresztą. Do znajomych, na tyle poczciwych a uczynnych, że zgodzili się za pokryciem kosztów zabrać go ze sobą na dwa tygodnie pod namiot w suwalskie. W sierpniu doczepiam syna do innych poczciwych ludzi, i tak spędzi kolejne dwa tygodnie pod namiotem nad Zalewem Sulejowskim.

Ja po prostu przetrwam lato w mieście.

Całkiem jak ta pani, która w sondażu programu trzeciego Polskiego Radia na pytanie reportera: pani sposób na przetrwanie nadchodzącego lata?, odpowiedziała zwięźle, że to jej pierwszy urlop od dwudziestu ośmiu lat, na który nigdzie nie wyjedzie, ponieważ musiała dokonać wyboru, kogo wysłać: czy siebie z mężem na wczasy, czy córkę i syna na kolonie.

Jeden z moich znajomych, pracownik naukowo-dydaktyczny, kierownik samodzielnej pracowni na wyższej uczelni, przysługujące mu sześć tygodni urlopu spędzi nareszcie we własnym domu. Żonę za to z synem wysłał na wczasy. Miały być one, po raz ostatni zresztą zrefundowane w tak zwanych „trzech czwartych" z budżetu uczelni. Kosztowały dwa miliony sześćset tysięcy. Może to i na dzisiejsze ceny dwutygodniowy pobyt nad morzem dwojga osób, dorosłej i jedenastoletniego chłopca, to ciągle niedrogo, aliści jeśli ktoś pobiera pensum w kwocie miliona dziewięćset, zaś żona ze względu na wadę serca nie pracuje zawodowo, wtedy takie wczasy są szarpnięciem ponad miarę, i w ogóle by w grę nie wchodziły, gdyby nie obietnica refundacji. Ta jednakowoż po dzień dzisiejszy nie nastąpiła, a jak wieść głosi, ponoć wcale nie nastąpi. Mój pracownik naukowo-dydaktyczny odżywia się więc trzy razy dziennie kaszą jęczmienną. Sprawdza na sobie słuszność ludowego przysłowia: Wczoraj kasza, dzisiaj kasza – dobra gospodyni nasza!

Natomiast kolejny, sondowany w radiu pan o kaszy nie wspomniał, najwyraźniej preferując kartofle. Uważał, że dzięki tym bulwom właśnie – chociaż dopiero co został wywalony z pracy bez przysługującej odprawy – lato przetrwa. Kartofle bowiem tanieją z dnia na dzień, a stwarzają nieograniczone wprost możliwości kulinarne i smakowe. Można je jadać gotowane z wody, posypane koperkiem. Można te gotowane na obiad, odsmażać na kolację. Da się z nich przyrządzić purée. Również ugotować zupę, zwaną kartoflanką. Pieczone – twierdził pan – są też dobre. Wystarczy je posypać solą do smaku, a sól wciąż po starej cenie. Placki kartoflane zaś, to już przysmak. Gdy zadać sobie nieco trudu, przekręcić kartofelki przez maszynkę, a kopytka z nich zagnieść, otrzyma się danie godne najwybredniejszego podniebienia. Rozkoszną odmianą będą polskie pyzy, niekoniecznie nadziewane mięskiem. Dodać należy, że ziemniaki dają siłę, wszak obowiązkowo wchodzą w skład diety ciężarowców. Posiadają owe bulwy szereg cennych witamin. Skutecznie zamulają kichy. Tyje się od nich szybko. Gdy więc człowiek codziennie wetnie ich kilogram, siłę zyska, smak wzbogaci, a lato przeżyje.

Pamiętam, że dziesięć lat temu mówiło się: Zima wasza, wiosna nasza. Lato miało być na pewno nasze od 4 czerwca 89. Nawet Joanna Szczepkowska ogłosiła w telewizji: *„4 czerwca 1989 skończył się w Polsce komunizm"*. A w trzy lata później program trzeci RP przeprowadza sondaż pod hasłem: Jak przetrwać lato 91!

I miałoby to wszystko wydźwięk defetystyczny, gdyby nie wypowiedź następnej pani. Bo ta pani powiedziała głosem mocno przechrypniętym, że obecne lato, jak każdego roku, przetrwa w parku, ale przetrwa je z nadzieją, gdyż jest to *„nasze pierwsze lato z przewodnią gwiazdą narodu, prezydentem Wałęsą"*.

A ponieważ program trzeci kilkakrotnie jeszcze powtórzył tę wypowiedź, więc zdążyłam ją dokładnie zapisać. Uznając, że do powyższego już nic dodać nie wypada, tym optymistycznym akcentem z gwiazdą przewodnią kończę.

Anna-Maria

E. L. Skalnik. Z tygodnia na tydzień (7)

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

A jednak, mimo zapewnień Walentino, że dupeczka jest dopracowana, Andrzej wyczuwał w siedzącej obok dziewczynie źle maskowane napięcie. Uśmiech miała sztuczny, oczy nieruchome, a dłonie kurczowo zaciśnięte.

Światła przy Zachodniej i Lutomierskiej zmieniły się, przyhamował ostro. Oczekujący tramwaju tłum kłębił się na przystanku. Pokotłujecie się tu niekiepsko, głupie ryje – pomyślał Andrzej – nie wiecie o tym, że „jedenastka" wypadła z szyn przed Obrońców.

Podobne obrazki ciągle jeszcze sprawiały mu niekłamaną satysfakcję, przydawały poczucia własnej wartości: on potrafił się odbić od takiego dna, jest więc lepszy, nie musi teraz wyczekiwać na tramwaj ani zapychać kaszany, nic z tych rzeczy. Głupie, biedne ryje, pomyślał rejestrując zmęczenie ludzkich twarzy. Położył rękę na kolanie dziewczyny. Niech sobie patrzą, niech zazdroszczą. Mazda za osiemdziesiąt baniek i luksusowa dziwka od Walentino w środku dnia. A tak! W środku dnia!, bo akurat miał taką fantazję, żeby o tej porze zafundować sobie dupę. Posunął dłonią wyżej, zagłębiając się między uda. Dziewczyna nosiła podniecające mini i nogi też miała podniecające: długie i smukłe.

– *Nie tu...ludzie patrzą...* – szepnęła słabym głosem.

Roześmiał się, ale cofnął rękę. Światła zmieniły się, ruszył. Walentino oczywiście go nabrał. To nie jest dopracowana dupa, to nówka. Ale czemu by nie? Dziewczyny od Walentino, profesjonalistki wysokiej klasy znały chyba wszystkie rutynowe zagrywy swego fachu, ćwiczyć z nimi to tak jakby uprawiać poranną gimnastykę z radiem w programie pierwszym, po której nawet nie jesteś, chłopie, za bardzo rozgrzany. Może dlatego ostatnio miewał kłopoty i żeby się napalić potrzebował coraz wymyślniejszych pasaży. Zerknął na dziewczynę: na jej policzkach wykwitły rumieńce. O, do diabła! – pomyślał – ja się już napaliłem! Tym razem musi się udać wraz z pierwszym podejściem. Ona mnie rajcuje, ta mała.

Za Radogoszczem skręcił w cichą uliczkę, podjechał pod swoją willę. Nazywał ją pieszczotliwie „domeczkiem". W porównaniu z chałupą Pawła czy Walentino był to rzeczywiście „domeczek". Tylko pięć pokoi i dwie łazieny. Na razie obleci. Jeszcze dwa latka, może trzy, a wywali taki dom, że wszystkim wypadną gały. Będzie miał, jak ten najbogatszy facet w Łodzi, Kropidłowski, trzy chaty. Jedną pod Łodzią, z basenem i kortem; drugą gdzieś pod Mrągowem, w samym sercu Mazur, a trzecią, rzecz jasna, w stolicy na Saskiej Kępie. Ten Kropidłowski zaczynał od jednego butiku z dżinsami, a teraz ma trzy wielkie firmy i prywatny samolot. Ja przy nim, pomyślał Andrzej, to mniej niż płotka przy rekinie. Lecz nie szkodzi. Zaczynałem niedawno, jeszcze nie rozkręciłem się. A czasy dla interesów są dobre. Co za czasy, zupełnie fantastyczne. Pracować nie trzeba. Wystarczy ruszyć mózgiem i zbiera się szmal.

– *Podoba ci się mój domeczek?* – zapytał, wprowadzając dziewczynę do środka. Kiwnęła głową. Wypieki na jej policzkach zgęstniały.

Coraz bardziej mu się podobała. Młodziutka, jasna blondynka. Prawie nie umalowana. Ładna i z wdziękiem. No i taka świeża, cudownie, obiecująco świeża.

– Właź. Klapnij swobodnie.

Posłusznie usiadła na brzeżku fotela, obitego skórą w kolorze bordo. Spłoszonym wzrokiem powiodła po meblach living roomu.

– *Matko, ale tu u pana pięknie!* Wyrwało się dziewczynie.

– *Jestem Andrzej, nie pan* – rozbawił go ten spontaniczny odruch podziwu. Rozbawił i sprawił przyjemność. Andrzej uważał, że swój „domeczek" urządził super. Za sam komplet wypoczynkowy zabulił równe trzydzieści baniek, dywan kosztował ósemkę, a obraz, żeby mu pasował pod bordową skórę kompletu, zamawiał specjalnie u znanego malarza.

– *To... z prawdziwej skóry?* – zapytała, pieszczotliwie przesuwając dłonią po oparciu fotela. Gest wydał się Andrzejowi dziwnie znajomy. I pytanie też. Zaraz... zaraz... która z tych dziwek od Walentino w identyczny sposób zareagowała na widok jego livingu? A, do diabła z nią, nieważne.

– *U mnie, kochanie, wszystko prawdziwe, żadnej imitacji – sama sprawdź* – przyciągnął dłoń dziewczyny do swego rozporka. Palce dziewczyny były sztywne i miały temperaturę lodu. Pomyślał, z coraz większym rozbawieniem, że zachowuje się tak jakby po raz pierwszy wylądowała z facetem. To niemożliwe. Walentino musiał ją chociaż co nieco poobracać. Ale skąd w ogóle taką wytrzasnął? Z głębokiej prowincji, może. Lub z takich czynszowych kamienic jak ta, w której on, Andrzej, wychował się od dziecka. Albo z blokowego emtrzy, gdzie się zalega z opłatą za komorne i za czarno-biały telewizor.

– *Słuchaj, kochanie, widzę, że zanim ty mnie zaczniesz rozgrzewać, to ja ciebie muszę...* – zaśmiał się, wstał, podszedł do barku. – *Koniaczek jest wprost świetny na rozgrzewkę.*

– *Jak pan uważa...*

– *Andrzej! Bo się rozgniewam: Andrzej! Powtórz.*

– Andrzej – powtórzyła posłusznie, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu.

– *No widzisz, Mariolka, jakie mam łatwe i ładne imię?* – dowcipkował.

– *Nie jestem Mariolka.*

– *O! A jak?*

– *Jolka.*

– *Jolka-Mariolka, ha! ha! ha! A powiedz mi, Jolka-Mariolka, ile ty masz naprawdę lat?*

– *Osiemnaście.*

– *Gadaj, ale nie mnie!*

Opuściła głowę. Długie, jasnopopielate włosy zasłoniły płonącą wypiekami twarz. Piękne włosy. Walentino ma oko. Ta dupka, gdy się wyrobi, przyniesie niezły obrót. To jest w ogóle dobry biznes, ten biznes Walentino.

– *Jak długo jesteś w branży?*

– *Drugi tydzień...*

Z wrażenia upił potężny łyk koniaku. O, do diabła!, to ona jak niedojrzałe winogrona, jeszcze nawet nie dziwka, dopiero materiał na dziwkę.

– *Nie martw się. I tak miałaś fart w życiu, że trafiłaś do Walentino. On z ciebie zrobi pierwszorzędną...* – chiał powiedzieć dupę, ale to słowo nagle wydało mu się zbyt wulgarne w stosunku do tej ciężko wystraszonej dziewczyny. Dotknął jej włosów, były jak jedwab. I nie farbowane. Naprawdę, wyjątkowo piękne. Anita, dopóki nie ścięła swoich i nie walnęła trwałej, też miała ładne włosy, a Joasia... Drgnął. Otworzyła się klapka w pamięci, zobaczył swoją siostrę w tym dniu, w którym ją przywiózł po raz pierwszy do swego nowo wybudowanego „domeczku". Matko, ale tu u ciebie pięknie! – powiedziała Joasia z naiwnym zachwytem, a potem usiadła na samym brzegu fotela i tak jak ta tutaj pieszczotliwie przesunęła dłonią po poręczy: to... z prawdziwej skóry? – Co, u diabła! – zdenerwował się sam na siebie Andrzej – będę jakąś dziwkę przyrównywał ze swoją siostrą. Upał mi się na mózg rzucił?

Spojrzał na zegarek. Za niecałą godzinę jest umówiony z Pawłem.

– *No, Jolka. Zabieramy się do roboty.* – rzucił opryskliwie.

Dziewczyna zaczęła rozpinać guziki przy bluzce. Palce jej drżały. Patrzcie ją, jaka skromnisia!, puszcza się na łatwy chleb, a zagrywa na niewinność! Do diabła! a gdzieś tam jej starzy, jacyś poczciwi ludzie, wypruwający sobie flaki, żeby starczyło do pierwszego, nie mają pojęcia, że wychowali zwykłą kurwę!

– *Ty, Jolka! Lubię czyste i świeżo podmyte! Łaziena jest tam!*

Skuliła się, poszła do łazienki. Andrzej nalał kolejną lampkę koniaku, wypił.

– *Ten sukinsyn, Walentino! Już ja mu powiem, cholera! Za nieletnie jest paragraf.*

Trzasnęły drzwi. Zbliżała się powoli, tak jakoś dziwnie ściskając kolana. Długimi włosmi przesłoniła piersi. Prześwitywały różowe, drobne sutki. Gdzieś zagubiły się ponętne okrągłości; miała chłopięco wąskie biodra, płaski brzuch, i te nogi smukłe i długie po bocianiemu, jak u podlotka. Joanna ma takie same. A on swojej własnej siostrze powiedział: ale z ciebie laska! Sam ją przyuczył pić różne drinki i śmiał się, gdy rozkaszlała się aż do łez przy pierwszym papierosie. I nawet nie spostrzegł się, że jaka to z Joaśki pojętna uczennica! Od dawna już w fotel wsuwała się wężowym ruchem, zakładała nogę na nogę wysoko, odsłaniając uda aż po majtki. Trzydzieści baniek za głupi komplet, rany!, powtarzała z błyskiem pożądliwości w oczach, oblizując koniuszkiem różowego języka wargi.

– *Ubieraj się.*

– *Co panu? Dlaczego?* – zaczęła dziewczyna, więc ryknął, żeby się ubierała szybko!, szybko, i spadała stąd jeszcze szybciej.

Rzuciła się, potykając na gładkim dywanie, do łazienki. Andrzej wychylił następny koniak, otarł pot z czoła. Nie. Jego siostra, Joanna, nie jest żadną brudną puszczalską. To porządna dziewczyna. Z porządnego domu. Maturę zdała dobrze. Teraz wybiera się na studia. Na medycynę. Zostanie świetnym lekarzem. Jest zdolna, ambitna i nie taka, jak inne. Nie unurza się w żadnym bagnie. Wyjdzie za mąż za chłopaka, którego pokocha. Nie musi być dziany, byleby ją też kochał i szanował. Przy pierwszym spotkaniu z siostrą powie, że on, najstarszy brat, urządzi ją w życiu. Niech się ona tylko uczy, skończy studia. To jednak bardzo ważne: mieć studia. Tak. Ważne. Więc medycyna, koniecznie. I o nic więcej nie musi się martwić. Mieszkanie otrzyma. Do diabła! Nawet taki zasrany komplet za trzydzieści baniek też! Przecież się robi ten szmal, a będzie się robiło jeszcze większy! A po co się go robi? Między innymi dlatego, że cały czas myśli się o swojej rodzinie. Żeby ją wyciągnąć z tych dołów.

Ktoś zadzwonił domofonem. To Paweł przyszedł wcześniej.

– *Masz kogoś?* – zapytał, nalewając sobie koniak.

– Taka jedna od Walentino – mruknął Andrzej – *Spławiam ją. Odeszła mi ochota.*

– *O!* – roześmiał się Paweł – *za to mnie naszła. Mogę?*

– *Moja narzeczona, czy jak, do diabła?* – wzruszył ramionami Andrzej.

– Gdzie ją zawlec?

– Cholera, gdzie chcesz!

– A ty, stary nie popatrzyłbyś sobie, ę? – zarechotał Paweł.

– Odpierdol się, dobrze? – wybuchnął Andrzej.

– *Coś taki nerwowy? To ja powinienem być nerwowy, od dziesięciu dni nie zaliczyłem żadnej dupy. Taką tu jedną u ciebie poderwałem kiedyś gąseczkę, stary, że palce lizać. Nawet myślałem, że to twoja, ale ona...* – wybuchnął śmiechem. Zadygotał duży brzuch opięty jedwabiem koszuli – *ale ona, stary! ta Joaśka to jak główna wygrana w bingo, nie do uwierzenia, żeby taką zaliczać w dzisiejszych czasach, co to jeszcze ani razu z nikim... Kurwa, stary, co tobie?!*

Ale Andrzej już chwytał za gardło: *Ty skurwysynu! Zabiję! To moja siostra!*

CDN

Maria, czyli kwadratura seksu

Fragmenty powieści Johna L. Cocka, wybrane przez nas jako wakacyjna lektura dla czytelników znudzonych letnią bezczynnością, mogą być szokujące dla tych wszystkich, którzy wyobrażają sobie, że „Skiroławki" Zbigniewa Nienackiego stanowią kres możliwości literatury w opisie zachowań seksualnych.

„Maria czyli kwadratura seksu", przykład ambitnej prozy erotycznej wyrosłej na gruncie amerykańskim, nawiązuje z jednej strony do doświadczeń Freudowskiej psychoanalizy, z drugiej zaś odwołuje się do kanonów klasycznych już powieści łamiących erotyczne tabu takich jak „Dekameron" Boccaccia, „Justyna" Markiza de Sade'a czy „Zwrotnik Raka" Henry Millera, które długo uchodziły za nieprzyzwoite, dziś zaś szokują co najwyżej dewotki wystawione na pokusę przysypanej naftaliną zwiędłej bezpowrotnie kobiecości.

Powiedzmy sobie od razu, że w „Marii", która podbiła amerykański rynek, mamy do czynienia z przerostem pierwiastków psychoanalizy, z epatowaniem się nagim libido, podczas gdy wątki powieściowe są stosunkowo ubogie. Autor zastosował schemat znany czytelnikowi z „Dekameronu": bohaterowie, odizolowani od świata zewnętrznego, snują opowieści, którymi starają się zainteresować pozostałych słuchaczy. Nie są to jednak fabuły zasłyszane czy wygłaszane dla urody oracji, tylko bezlitosna spowiedź prowadząca do samooczyszczenia. Tym, co łączy wszystkich narratorów, jest tytułowa Maria; każdy z nich był przez jakiś czas jej mężem.

Trzydziestoletnia Maria, z pochodzenia Hiszpanka, obdarzona bujnym, południowym temperamentem, mimo posiadania wielomilionowego majątku jest kobietą głęboko tragiczną i nieszczęśliwą. To właśnie ona inicjuje spotkanie swoich byłych kochanków, zapraszając ich do luksusowej rezydencji na Florydzie. To ona prowokuje ich do zwierzeń a także do działań, które stanowią swoistą psychodramę. Stąd trywialny język dialogów, zderzony z oleodrukowym opisem krajobrazów i nostalgicznym nastrojem dominującym w całej książce. Bowiem głównym jej narratorem jest pierwszy mąż Marii, pisarz i scenarzysta filmowy Jerry Dorn.

Cock to po angielsku tyle, co kogut, symbol samczej witalności. Nietrudno więc odgadnąć, że autor skrył się za pseudonimem. Pseudonimem podpisany został także przekład powieści. Książka ukaże się już wkrótce nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, które zezwoliło nam na przedruk fragmentów.

kf.

– *Chcę was zobaczyć nagich. Bądźmy wszyscy nadzy.*

Podeszła do mnie i zdjęła mi krawat. Wrzuciła go do basenu nagłym, gniewnym gestem. Zanurzył się w wodę jednym końcem, drugim zawisł na marmurowej krawędzi. Chwyciła marynarkę za guziki, ściągając ją ze mnie do połowy. Ogarnął mnie nagły lęk. Nie chciałem obnażać się przed obcymi. Wyrwałem się, broniąc mej marynarki i mej godności.

– *Mario!* – wykrzyknąłem.

Spojrzała na mnie z uśmiechem

– *Bywaliśmy nadzy razem, Jerry, tyle razy. Przez trzy lata byliśmy razem nadzy.*

– *Tak* – odparłem – *ale...* – i bezradnym gestem wskazałem pozostałych mężczyzn.

Wydawała się nie rozumieć.

– *Ale ja bywałam naga i z nimi. Żyłam z nimi tak, jak żyłam z tobą, więc dlaczego nie mielibyśmy...*

Zamilkła, spoglądając kolejno na Tony'ego i Caseya. Ich twarze wyrażały uczucia podobne – jak sądziłem – do moich. Roześmiała się głośno:

– *Na miłość boską, wy chłopy! Wszyscy pruderyjni.*

Jej śmiech, zarówno jak jej słowa, przraziły mnie. Jak bicz smagnęła mnie myśl, że Maria przebrała miarkę.

– *Nie wiem, w co się bawisz, Mario* – powiedziałem twardo ale nie chcę być pionkiem w żadnej twojej grze.

– Grze? Ty to nazywasz grą? Kiedy ja...

W oczach stanęły jej łzy. Roztarła je dłońmi po policzkach.

– *Kochałam was, was wszystkich, każdego po kolei. Ale to nie trwało długo, prawda? Trzykrotnie przyszło, trzykrotnie odeszło, nic mi nie pozostawiając. Nic. I nawet nie wiem dlaczego.*

Zamilkła, nie dlatego, by jej zabrakło słów, lecz jakby bała się je wypowiedzieć.

– *Nie pozostawiliście mi nawet dziecka, żaden z was. Nie zasialiście we mnie ziarnka, które mogłabym wyhodować. Muszę więc coś odnaleźć... coś odnaleźć...*

Podeszła nagle do Tony'ego, jedną ręką objęła go w pasie, drugą sięgnęła mu do rozporka.

– *Mój stary przyjacielu* – powiedziała stłumionym głosem – *pokaż mi mojego starego przyjaciela. Tony, proszę, pokaż.*

Twarz mu sczerwieniała, kiedy sięgała po jego chuja. Wydobyła go na wierzch, na widok publiczny, pobudzając ruchami dłoni. Poczułem się zakłopotany, wręcz wytrącony z równowagi, zarówno jego okazałością, jak i zachowaniem Marii.

Na dnie tego niepokoju tkwiła świadomość, że Maria postępowała tak z Tonym już przedtem, ale nie mogłem pojąć, jak jakakolwiek kobieta mogła wprowadzić w siebie organ tak ogromny. Poczułem kwaśny smak w ustach, patrząc jak Maria klęka przed Tonym i przywiera wargami do wielkiej czerwonej główicy jego penisa.

– *Mój drogi przyjacielu* – przemawiała doń śpiewnie – mój stary przyjacielu. Nigdy nie wiedziałeś naprawdę, czy mnie lubisz czy nie. Ale polubiłeś mnie przecież, no nie? Nauczyłeś się mnie lubić.

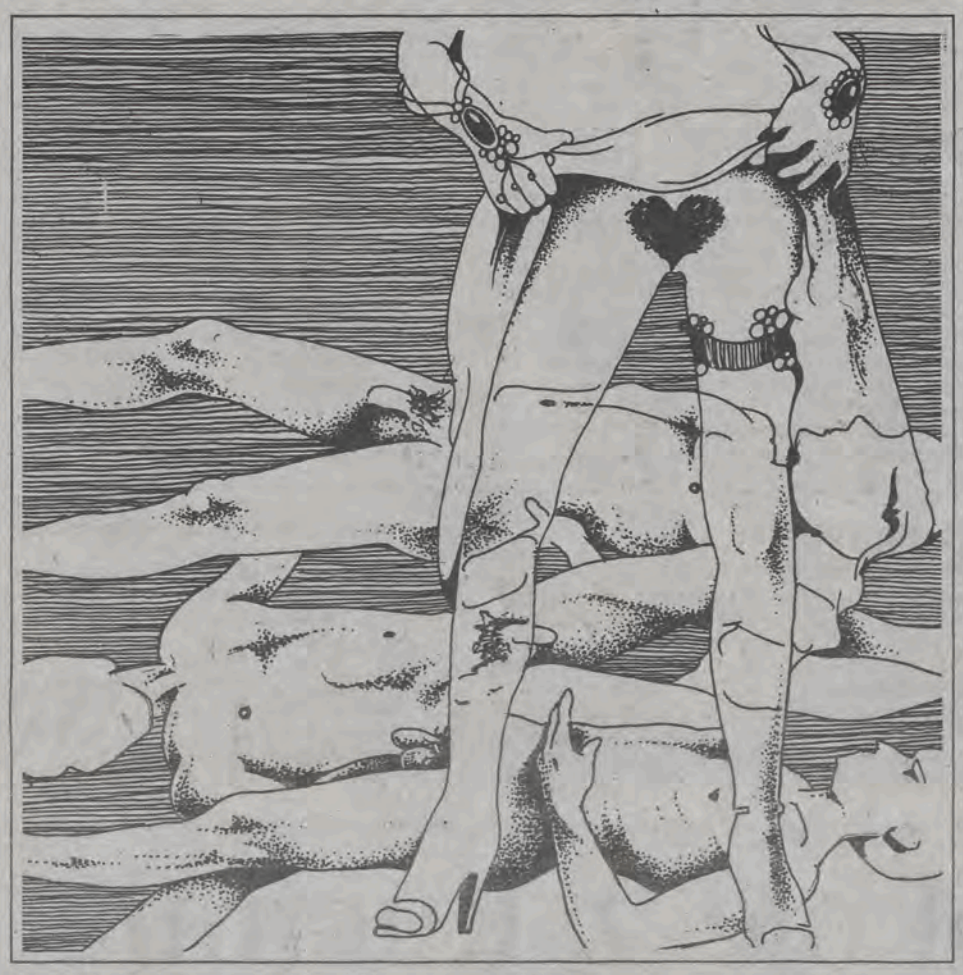

Tony spuścił się, potężny strumień spermy wytrysnął na niezwykłą odległość, opryskując białymi grudkami wypolerowaną posadzkę. W geście wstydu, Tony wyśliznął się z jej objęcia i zszedł nam z oczu. Współczułem temu chłopcu. Umarłbym na jego miejscu ze wstydu. Każdy by umarł.

Maria pozostała wciąż na klęczkach, jej twarz przybierała wyraz smutku.

– *Przepraszam cię, Tony* – powiedziała – *właściwie chciałam żebyś mnie zerżnął. I żebyście mnie zerżnęli wszyscy, jeden po drugim. Na pamiątkę dawnych czasów – i być może na powitanie nowych.* – Podniosła się z wolna. – *Ale to by się nie udało. Och, oczywiście, każdy z was wypierdoliłby mnie chętnie na osobności, nie widziany przez innych. Nie potrafilibyście tego zrobić wspólnie, wszyscy razem, dzieląc się tym z innymi współodczuwając z nimi. Nie umiem wam wytłumaczyć, jak ja to wszystko widzę. Jesteśmy tu sobie obcy wszyscy, na Bezimiennej Wysepce. Tak jak ja zawsze byłam obca samej sobie.*

Nie poruszałem się ani nie wydałem z siebie głosu. Czułem się tak wewnętrznie zagubiony i niepewny, że wiedziałem, iż każdy mój ruch będzie zły, każde słowo fałszywe. Miałem w końcu dość wrażliwości, aby to sobie uświadomić. Casey patrzył na Marię z dziwnym wyrazem oczu, po części zaszokowany tym co widział, podobnie jak ja, ale po części także ze współczuciem, na które nie umiałem się jeszcze zdobyć. A nawet z czymś jeszcze, co nagle spostrzegłem, czymś głębokim i niebezpiecznym... jakby wzbierała w nim gwałtowność. Tony oddalił się znów nad basen, pochylony, jakby go chwycił jakiś ból.

Tymczasem Maria w swej nagości cielesnej i duchowej odzyskała swoistą godność.

– *A więc wybaczcie mi, nie tylko ty, Tony, ale wy wszyscy mi wybaczcie. Wybaczcie mi , że wierzyłam, iż zdołacie przybyć do mnie naprawdę, że zechcecie dać mi... nas...*

Casey drgnął. Zadziwił mnie wybuchową wprost sprężystością, z jaką doskoczył do Marii, schwycił ją za ramiona, przechylił i przygniótł do plażowego krzesła.

– *Jeśli chcesz zostać wyruchana, załatwię ci to* – powiedział głosem zduszonym i twardym. – *O tak, proszę pani, załatwię ci to.*

Pochylił się nad nią, jedną ręką przyciskając jej plecy, drugą rozpinając rozporek. Maria przypatrywała się biernie jego twarzy. Na jej obliczu malował się lęk. Lęk – i podniecenie. Wargę przygryzała górnymi zębami, ale jej twarz była ciągle blada.

Wyjął gotowego już do akcji kutasa. Okraczył ją, obejmując kolanami z zewnątrz jej ściśnięte uda. Krótkim, gwałtownym sztychem worał się w nią, gwałcąc nie przygotowaną na jego pług pochwę. Usłyszałem ciężkie westchnienie, które wydobyło się z jej piersi, kiedy go przyjmowała.

Nie mogłem na to patrzeć. I nie mogłem nie patrzeć. Uważałem się za człowieka dosyć otrzaskanego. Ale nigdy przedtem nie widziałem mężczyzny i kobiety spółkujących. Seks był dla mnie, jak i dla większości ludzi, zawsze sprawą ściśle osobistą. Oczywiście, że zdarzało mi się czytywać o zamienianiu się żonami, o seksie zbiorowym, o spotkaniach grupowych... i takich tam rzeczach. Ale to były legendy o nie znanych ludziach, których nigdy nie spotykałem.

Pierwszą moją reakcją było wewnętrzne zbrzydzenie: jakież to niesmaczne, jakie wulgarne! Czułem się jakbym podpatrywał kopulujące zwierzęta powodowane ślepym instynktem, nieświadome otoczenia, nie dbające o to, że ich akt nabiera publicznego charakteru. I w istocie, Casey pierdolił ją jak zwierzę, ujeżdżając ją jak dżokej konia, podskakując w wytrwałym galopie wyzbytym wszelkiej ludzkiej delikatności, wszelkiej człowieczej miłości. Jej twarz wykrzywiła się w napiętym, brzydkim grymasie, kiedy się unosiła, aby wchłaniać wciąż i wciąż ociekającą wilgocią gotowość jego bezlitosnego chuja.

Odwróciłem głowę, kiedy poczułem, że zbliża się do nas Tony, i dostrzegłem na jego twarzy głębokie zafascynowanie tym widokiem. Jedynymi słyszalnymi dźwiękami było plaskanie pośladków i zduszone oddechy.

Nagle ta groteskowa brzydota przeradzać się zaczęła w rodzaj bolesnego piękna. Gwałtownego, okrutnego, nieczułego, ale jakiekolwiek by ono być miało, układało się w ustalony rytm, w zawiły splot, nie samego tylko chuja i pizdy, ale całości ich ciał, złożonych i delikatnych, przerastających nawzajem w siebie w miarę jak się przenikali w przyspieszonym rytmie ich aktu. Był on tak szybki, tak dziki, tak gwałtowny, tak zwierzęcy – i zarazem tak głęboko i pięknie człowieczy; i kiedy Casey osiągnął i wyładował swoje spełnienie, ułożył się na niej, przywarł ustami do jej ust i dopomógł jej dojść do finału, ponieważ wiedział, że teraz ona góruje nad nim swą siłą i mogłaby go zabić, gdyby ją pozostawił niezaspokojoną.

Kiedy się to stało, poczułem się wypompowany tak, jakbym to ja pierdolił, albo został wypierdolony. Przez dłuższą chwilę Casey pozostawał na niej, patrząc na twarz Marii. Ona wpatrywała się w niego, pulsującego słabnącym rytmem, miękko i z rodzajem utrudzenia zaglądającego jej w oczy. Ileż to razy, pomyślałem, brał ją tak gwałtownie, tak bez uprzedniego objawiania uczuć? I dlaczego oboje zachowali o tym tak tkliwą pamięć?

Casey podniósł się i bez najmniejszego zażenowania osuszył sobie kutasa dłonią. Po czym otarł dłoń o spodnie, patrząc wprost na mnie. Nie mogłem obronić się przed myślą, która się we mnie zrodziła. Oto wszyscy trzej – a właściwie wszyscy czworo, jeśli liczyć Marię – doznaliśmy dziś orgazmu, tyle że mój spełnił się w odosobnieniu.

– *Zrobiłem swoją robotę* – powiedział Casey. – *Teraz ty zrób swoją.*

Odebrałem to wezwanie jako nieodparte. Musiałem je podjąć. Przeczułem nagle jak materialną rzeczywistość ten moment za chwilę, kiedy wniknę w jej cudowne ciało...gotowe, tak gotowe, bo Casey je rozgrzał, zwilżył swoją spermą, rozbudził jej żądzę. Tak. Maria zwróciła ku mnie głowę, jej dolna warga, pozostawała w uchwycie zębów. Gdybym się uprzednio nie onanizował, myślę, że pękłbym na kawałki.

Ale odwróciłem się, podszedłem do baru i trzęsącą się ręką nalałem sobie drinka.

– *Jerry* – powiedziała Maria – *Jerry, proszę cię.*

Nie mogłem jednak odpowiedzieć na jej wezwanie.

– *Tony?* – zapytał Casey – *a może tobie coś zostało,*

Odpowiedź Tony'ego zabrzmiała jak śpiew syreni:

– *Kochanie, gdybym się rozebrał, mógłbyś mnie użyć zamiast Marii. Bo ja tak właśnie jestem zbudowany. Marzę o tym, kowboju, żebyś mnie przeleciał.*

Pomyślałem, że Tony chowa się w swoją kryjówkę, tak jak ja schowałem się w swojej. I znów odczułem przypływ zrozumienia dla tego typu ludzi, których nigdy przedtem nie byłem w stanie zrozumieć. Mieli oni swoje reguły gry, tak jak ja miałem własne. Zastanawiałem się w myślach, jak doszło do tego, że się ożenił z Marią. Musiało to być osobliwe małżeństwo.

– *Posłuchajcie* – powiedział Casey dobitnym głosem, który mnie zmusił do obrócenia ku niemu głowy. Siedział obok niej, opierając rękę na jej nagim brzuchu. – *Tak jak powiedziałem przedtem, Maria nas potrzebuje. Nie Caseya. Nie Jerry'ego. Nie Tony'ego. Ale nas. Nas trzech.*

Nie znajdowałem w sobie odpowiedzi. Przysłuchiwałem się mu po prostu, tak jak przedtem przysłuchiwałem się Tony'emu. Co Maria znalazła w nim takiego, co mogła pokochać? Z pewnością coś znalazła. Może coś więcej niż znalazła we mnie. On się lepiej dostosowywał do sytuacji niż ja, teraz też. Ja uchodziłem za człowieka elokwentnego, obytego ze słowami i ideami. On był kowbojem – a mimo to miał do powiedzenia o naszym położeniu więcej niż którykolwiek z nas. I działał.

– *Czy myślicie, że to mogłoby być coś łatwego?* – głos Caseya łagodniał, wyzbywał się uprzedniej twardości. Spojrzał na Marię. – *Wiedziałem z góry, że to będzie dla nas ciężkie zadanie. W przeciwnym razie Maria by nas nie wzywała.*

Maria wstała, przerzucając przezeń nogę. Spostrzegłem ze żrącą zazdrością, że ręką wspierała się poufale o jego plecy. Już przecież się pierdolili – dojrzewał we mnie gniewny szept. A ty nie dotykałeś kobiety od lat całych.

– *Spróbuję wyjaśnić, jak to właściwie jest ze mną* – głos Marii brzmiał jakby trwożnie. – *Bo to się nie tak układa jak chciałam...*

Zdjęła rękę z pleców Caseya, złożyła dłonie na nagich udach. Twarz osłoniła włosami.

– *Prawda jest taka, że przegrałam. Przegrałam jako człowiek. Przegrałam jako kobieta.*

– *Mario!* – zaprotestował Tony.

Spojrzała nań i ponownie skryła twarz pod włosami.

– *Tony, to jest prawda* – uniosła rękę w nagłym geście. – *Miałam trzech wspaniałych mężczyzn, kolejno, jednego po drugim. I wszystkich trzech utraciłam.*

Przetarła twarz dłonią, jakby chcąc zetrzeć linie znamionujące długie, bolesne cierpienie. Pomyślałem, że ma za sobą wiele samotnych godzin na Bezimiennej Wysepce. Godzin bezowocnych rozmyślań i głębokiej rozpaczy.

– *Próbowałam mężczyzn. Próbowałam kobiet. Próbowałam wszystkiego, czego człowiek może próbować.*

Spojrzała mi prosto w oczy.

– *Tak, Jerry, próbowałam. Tak jak ty próbowałeś jedzenie w różnych restauracjach po kolei, aby wybrać danie najodpowiedniejsze. Stałam się smakoszem ludzi, bogatych i biednych, nudziarzy i błyskotliwych, i pedantów. I kobiet także, niezwykłej rozmaitości kobiet. Oraz wszystkich sposobów, w jaki ludzie starają się współżyć ze sobą, w szczęściu i nieszczęściu, wygrywając i przegrywając, albo godząc się na kompromis. Ale nie znalazłam porządnego posiłku między tymi rozmaitymi daniami. Przekonałam się o tym szybko, chociaż prowadziłam jeszcze nadal bezsensowne poszukiwania.*

A kiedy ponownie wróciłam na Bezimienną Wysepkę, chciałam umrzeć. Nie, nie myślałam o melodramatycznym samobójstwie. Samobójstwo nie byłoby konieczne – czas dokonałby dzieła, zabijając mnie powolną, nieuniknioną niekompletnością rzeczywistości. I właśnie w stadium tej bezwarunkowej kapitulacji klucz wpadł mi w ręce.

Podniosła się i stanęła pośrodku między nami, naga i jakby nieświadoma swego piękna. Przniknęła nas nagła siła jej oddziaływania.

– *Spadło to na mnie nagle którejś noc, bez żadnego uprzedzenia. W jednej sekundzie uwolniłam się od czegoś i weszłam w posiadanie czegoś innego. Tak po prostu i bezpośrednio – po całym tym dogasaniu, osuwaniu się w przepaść, zagubieniu na bezkresnym morzu, na którym nie umiałam już znaleźć żadnej przystani dla nadziei.*

Ta prawda olśniła mnie tak nagle, że nie zdążyłem nawet zapytać o jej słuszność. Ponieważ objawiła się jako prawda. I tą prawdą jesteśmy My. Nie ja. Nie ty. My. Razem, Nas czworo.

Cdn